Dziś w numerze: L. WŁODKOWSKI **Konfrontacje** • A. LEWASZKIEWICZ **Traktat o rozbojach** • R. KOWALSKI **Szlakiem katastrof** • **Prasowe tradycje Łodzi** • **Skrzypce grają** • **Zewsząd o wszystkim** • **Porachunki**

odgłosy

7. XII. 1969 r.
49 (629)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. Chris Tselios

Czy literatura ma prawa i obowiązki?

PROBLEM ZAANGAŻOWANIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY POLSKIEJ JEST W OSTATNICH MIESIĄCACH PRZEDMIOTEM ROZWAŻAŃ WIELU PUBLICYSTÓW I KRYTYKÓW. ZAGADNIENIOM TYM POŚWIĘCONA JEST TAKŻE DYSKUSJA REDAKCYJNA „OD GŁOSÓW", W KTÓREJ WZIĘLI UDZIAŁ PISARZE, CZŁONKOWIE ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ZLP.

KONRAD FREJDLICH: Serdecznie witam na kolejnej dyskusji redakcyjnej „Od głosów". A ponieważ widzę przy tym stole ludzi pióra, proponuję, aby zastanowić się wspólnie, czy literatura ma prawa i czy ma obowiązki. Powie ktoś może, że ma i że to oczywiste. Ale przecież w zależności od tego, jak je pojmujemy, twórczość naszą będzie bliższa, albo też dalsza tym sprawom, którymi żyje przeciętny Polak, czytelnik naszych książek. To problem istotny tym bardziej, że w ostatnich miesiącach krytyka postawiła całej właściwie polskiej literaturze współczesnej zarzut izolacjonizmu twierdząc, że niczego ona nie wyraża i nikomu nie służy. Oczywiście panowie krytycy zostawili sobie furtkę, zauważyli mianowicie wyjątki od tej reguły. Ale nie o wyjątki przecież tu chodzi tylko o pryncypia. Myślę, że w oparciu o nasze osobiste doświadczenia twórcze warto się nad tymi postawami zastanowić.

JAN KOPROWSKI: Jeśli krytyka rzeczywiście zarzuca naszej literaturze izolacjonizm, to albo krytycy nie czytają współczesnych książek, albo też powodują się oni po prostu złą wolą. Można oczywiście dyskutować czy nowa polska literatura zaangażowana jest w stopniu odpowiadającym potrzebom społecznym, ale samego zaangażowania zakwestionować się nie da. Rzekłbym nawet, że wyróżnia ono książki pisarzy polskich na tle innych literatur, zwłaszcza zachodnich.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Myślę, że Frejdlich, otwierając nasze spotkanie, nie przesadził, gdyż czytałem jeszcze bardziej niesprawiedliwe głosy w prasie. Ma

Dalszy ciąg na str. 3

BOGDA MADEJ

LOGARYTMY PRZED PÓŁNOCĄ

Ta audycja od samego początku budziła kontrowersyjne opinie, sprzeciwy i niezadowolenie telewidzów, szukających w programie przede wszystkim rozrywki. Pisze inteligent z miasta wojewódzkiego: „O ile nie macie dobrych programów lub filmów, to lepiej ogłosić przerwę, zamiast nadawać wykłady różnych doktorów i docentów. Przecież takich bzdur i tak nikt nie ogląda".

„Bzdury" to nic innego jak Politechnika Telewizyjna, a dość lapidarna ocena jest wykładnikiem poglądów wielu telewidzów, którzy od kilku lat niezmiennie pytają: kto to ogląda, komu to potrzebne i co to w ogóle jest?

Od pierwszego telewizyjnego wykładu nadanego 22 lutego 1966 r. z Wrocławia minęło prawie 4 lata. Można więc już nie tylko odpowiedzieć na te pytania, ale i spróbować oceny tego programu.

Żeby mówić o początkach Politechniki Telewizyjnej trzeba przypomnieć o fakcie powszechnie znanym — gwałtownej zmianie naszej powojennej struktury gospodarczej i wynikłej stąd konieczności kształcenia wysoko kwalifikowanej kadry technicznej. Studia dzienne nie nadążały za potrzebami gospodarki — absolwentów było wciąż mało. Po zorganizowaniu studiów wieczorowych dla pracujących utworzono także studia zaoczne i eksternistyczne. W jednym tylko roku szkolnym 1966/67 na pierwszy rok technicznych studiów wieczorowych przyjęto 5.669 słuchaczy, a studiów zaocznych — 4.048. Te liczby powinny cieszyć, gdyby nie dwa mankamenty. Pierwszy — to ciągle jeszcze zbyt mały zasięg istniejących placówek naukowych, drugi — niska sprawność, która dla studiów wieczorowych wynosiła około 40 proc., dla zaocznych 10—15 proc.

Komitet do Spraw Radia i Telewizji od dawna nadawał regularne telewizyjne i radiowe audycje, które uzupełniały program szkół podstawowych i ogólnokształcących. Postanowiono więc skorzystać z tych doświadczeń i wprowadzić audycje telewizyjne jako pomoc dla słuchaczy technicznych studiów wieczorowych i zaocznych. Polskim pomysłem zainteresowała się UNESCO szukająca najskuteczniejszej formy upowszechniania szkolnictwa w krajach słabo rozwiniętych. UNESCO ofiarowała pomoc materialną — między innymi dostarczyła niezbędnego sprzętu telewizyjnego i filmowego — w zamian mieliśmy służyć doświadczeniami. I w ten sposób doszło do podpisania między rządem PRL i UNESCO umowy o współpracy przy realizacji projektu przyszłej Politechniki Telewizyjnej.

W lutym 1966 r. Telewizja Polska rozpoczęła nadawanie wykładów matematy-

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

Minęły dwa lata od uchwalenia przez Radę Bezpieczeństwa rezolucji, otwierającej drogę do pokojowego uregulowania konfliktu bliskowschodniego. Jednak od tamtego czasu nie przybliżono się do takiego rozstrzygnięcia ani o krok. Na liniach przerwania ognia wciąż trwa stan zapalny, a na okupowanych przez Izrael terytoriach arabskich przeprowadza się masowe przesiedlenia i pod lada pozorem rozwija najbrutalniejszy terror. Wzmaga to opór ludności, na co z kolei okupant odpowiada egzekucjami.

Za taki stan, który niebezpiecznie zaostrza napięcie w rejonie Bliskiego Wschodu i grozi wybuchem nowego konfliktu, ponosi odpowiedzialność państwo Izrael, którego politycy odmawiają zrealizowania zasadniczego punktu listopadowej z 1967 roku rezolucji, a mianowicie wycofania swoich wojsk. Więcej — rząd z Tel Avivu zapowiada z góry, że nie przyjmie żadnego rozwiązania obecnego kryzysu, który nie będzie uwzględniał jego punktu widzenia. Utrudnia to poszukiwanie pokojowych dróg, którego to zadania podjęły się cztery wielkie mocarstwa.

W tej sytuacji Komitety Centralne sześciu partii i rządy: Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Polski, Węgier i Związku Radzieckiego opublikowały wspólne oświadczenie o sytuacji na Bliskim Wschodzie. Podkreśla ono, że imperializm dąży do odzyskania utraconych pozycji w tym rejonie, grabieży narodowych bogactw krajów arabskich i dlatego popiera izraelską politykę aneksji. USA udzielają Izraelowi coraz większej pomocy wojskowej, wyposażając jego armię w najnowszą broń.

Prowokacyjna działalność Izraela, której świadkami jesteśmy niemal codziennie, a która wymierzona jest przeciwko ZRA, Syrii, Jordanii i innym krajom arabskim, wymaga podjęcia bez zwłocznych kroków. „Narody świata — czytamy w oświadczeniu — powinny zmusić Izrael do wycofania swoich wojsk z zagarniętych terytoriów arabskich. Bez rozwiązania tego problemu nie może być trwałego i sprawiedliwego pokoju w tym rejonie".

Partie i rządy sześciu krajów socjalistycznych stawiają na porządku dnia wraz z innymi bliskowschodnimi zagadnieniami także „rozwiązanie w sposób sprawiedliwy problemu zagwarantowania legalnych praw i interesów arabskiego narodu Palestyny, który prowadzi mężną walkę narodowo-wyzwoleńczą i antyimperialistyczną". Przypominają swoje zdecydowanie pokrzyżowania agresywnych planów i potwierdzają dalsze udzielanie pomocy państwom arabskim. Apelują do pokojowych krajów, aby poparły narody arabskie w ich walce o niezawisłość i sprawiedliwe rozwiązanie kryzysu bliskowschodniego.

Oświadczenie krajów socjalistycznych jest głosem ostrzeżenia pod adresem Izraela i jego protektorów. Ale jest też próbą zapobieżenia katastrofie, do której prowadzi zaborcza polityka kół rządzących w Tel Avivie.

Inny konfliktowy rejon świata — Wietnam znalazł się w minionym tygodniu na szpaltach gazet światowych, głównie z powodu ujawnienia zbrodni, jakiej dopuściły się wojska amerykańskie w wiosce My Lai. Nie jedyna to masakra na ludności wietnamskiej — wiceprzewodniczący delegacji TRR na rozmowy paryskie przytoczył na 44 posiedzeniu długą listę podobnych faktów, a wśród nich utopienie na otwartym morzu 1200 osób, w tym również tych, które uszły z życiem podczas rozprawiania się z ludnością My Lai — ale zbrodnia ta doczekała się ujawnienia w prasie amerykańskiej. Poruszyła ona do żywego społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, przed którym dotychczas starannie ukrywano różne „operacje" i „przeczesywania", prowadzone przecież nagminnie przez wojska USA rzekomo w imię „przywrócenia pokoju" w południowym Wietnamie. Ukazujący się w Hanoi dziennik „Nhan Dan" podaje, że tylko w ciągu trzech miesięcy br. żołnierze amerykańscy zabili w karnych ekspedycjach 1.050 osób spośród ludności cywilnej, a w prowincji Quang Nam z 487 wsi — zniszczyli 258.

Odsłonięcie masakry w My Lai odbiło się szerokim echem także w krajach zaprzyjaźnionych z USA. Wszędzie wzmaga się presja, aby Stany Zjednoczone przerwały tę wojnę. Administracja amerykańska ciągle jednak pozostaje głucha.

Po tych dwóch zdecydowanie pesymistycznych akcentach — wydarzenie o bardziej optymistycznym wydźwięku. Rząd NRF, jako 93 na świecie, podpisał układ o nieproliferacji. Kanclerz Brandt zrealizował zatem pierwszą ze swoich zapowiedzi. Fakt ten zasługuje na odnotowanie przede wszystkim dlatego, że świadczy o możliwości koalicji SPD-FDP przeciwstawienia się skoncentrowanym atakom opozycji. Nie można jednak nie wspomnieć, że złożeniu podpisu pod układem towarzyszyło zgłoszenie 19 zastrzeżeń. Czy wystąpienie z nimi ma na celu stępienie ostrza opozycji, czy też zapowiada opóźnianie ratyfikacji układu — trudno dziś ustalić. Chcemy wierzyć, że ta druga ewentualność nie wchodzi w rachubę i rząd NRF przyłączy się do wysiłków, mających na celu zmniejszenie nuklearnego niebezpieczeństwa.

W. SŁAWSKI

Strzeżcie się kostki cukru

„THE SUNDAY TIMES" — LONDYN

W londyńskim tygodniku „The Sunday Times" ukazała się następująca informacja, będąca także ostrzeżeniem:

„Niczemu nie wierzcie, każdy przedmiot należący do waszego rozmówcy — to wasz wróg. W każdym może być ukryty tajny mikrofon.

Jest to miniaturowy mikrofon z plastiku, zdumiewająco podobny do kostki cukru, niezastąpiony w podsłuchiwaniu rozmów w miejscach pracy. Cena — 45 funtów szterlingów"...

Taki anons ukazał się w katalogu handlowym pewnej firmy, rozesłanym do prywatnych detektywów w całej Anglii.

W tym samym katalogu proponuje się również ultra miniaturowy mikrofon, zainstalowany w spinkach do mankietów, przydatny w sytuacjach bardzo trudnych i skomplikowanych. Firma reklamuje także nadajnik radiowy umieszczony w zegarku na rękę, przeznaczony do podsłuchiwania rozmów prowadzonych szeptem w odległości trzech metrów.

„Sunday Times" pisze z oburzeniem o niebywałym rozmachu działalności prywatnych detektywów w Anglii, których — jak donosi pismo — w całym kraju jest ok. 15 tysięcy.

Jednakże tenże „Sunday Times" bezradnie rozkłada ręce: takie formy szpiegowania obywateli Wielkiej Brytanii nie są karane przez prawo i jedno co może zrobić pismo, to ostrzec swoich czytelników — „Strzeżcie się nawet kostki cukru!"...

„Telegazeta"

„DAILY MIRROR" — LONDYN

„Skonstruowanie tego urządzenia oznacza, iż usługi listonoszy mogą się stać zbędne". Te słowa umieszczono pod zdjęciem w londyńskiej gazecie „Daily Mirror". Przed nami japoński telewizyjny kombajn, coś jakby połączenie telewizora z dalekopisem — fonię i wizję uzupełnia jeszcze słowo drukowane. Konstruktorzy kombajnu sądzą, że ich wynalazek może stać się groźną konkurencją dla codziennych gazet.

Japońska firma, która wyprodukowała już próbną partię telegazetowego kombajnu podała do wiadomości, że przystąpi do masowej ich sprzedaży w przyszłym roku. Rząd japoński udzielił już zezwolenia jednej z tokijskich gazet na „dostarczanie" jej prenumeratorom — abonentom serwisu informacji, przekazanego w tak niezwykły sposób.

„Ostatni Mohikanie"

„HORIZONT" — BERLIN

Kiedy portugalski podróżnik Ferdynand Magellan dotarł do najdalej na południe wysuniętego punktu kontynentu amerykańskiego i odkrył 550 km cieśninę, łączącą Ocean Atlantycki z Oceanem Spokojnym, nazwaną później jego imieniem, ujrzał po obu jej stronach mnóstwo płonących paździerzy. Palili je Indianie. Odkryty przez Magella na archipelag otrzymał nazwę Ziemi Ognistej.

Dawnych mieszkańców Ziemi Ognistej nie ma dziś prawie wcale. Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat tępili ich systematycznie biali osiedleńcy. Na przykład plemię Ona, które na początku bieżącego stulecia liczyło około dwóch tysięcy ludzi, dziś liczy zaledwie... ośmiu. Z plemienia Aoników, które niegdyś przebyło Andy i było rdzennym plemieniem wielkich masywów górskich, pozostało dwoje ludzi.

Te przerażające dane opublikował argentyński tygodnik „Witon". Pismo ostro krytykuje politykę rządu wobec Indian. Jeśli chodzi o plemiona Ona i Aoników, to oczywiście dziś już za późno na podjęcie jakichkolwiek decyzji. Przy ich obecnej „liczebności" trudno nawet marzyć o utrwaleniu ich języka i kultury. Los tych obu plemion jest już przesądzony.

Tragedia ta miała dokładnie taki sam przebieg, jak i w innych rejonach amerykańskiego kontynentu. Z początku Indian zepchnięto na wybrzeże, później zaczęto ich zamykać w rezerwatach, na terenach mało urodzajnych. Na Ziemi Ognistej, wielcy obszarnicy ziemscy nie ograniczyli się do rezerwatów, urządzali — w pełnym tego słowa znaczeniu — polowania na miejscową ludność, płacąc po 10 dolarów za głowę zabitego Indianina. Było tak jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Później o Indianach „zapomniano".

Świąteczny numer „ODGŁOSÓW" ukaże się w kioskach dnia 19 grudnia w podwójnej objętości 24 stron.

Wśród wielu atrakcyjnych i bogato ilustrowanych pozycji znajdą Czytelnicy m. in.:

★ **INŻYNIEROWIE SMAKU**

★ **UWAGA NA JAPONIĘ**

★ **WYSPIAŃSKI ZE WSPOMNIEŃ**

★ **STRZAŁ SAMOBÓJCZY**

★ **MĄDROŚĆ STOŁOWYCH NÓG**

oraz Wielki Konkurs Świąteczny, konkurs-ankietę „Łodzianie 69", świąteczną krzyżówkę — z cennymi nagrodami itd.

Co prawda, niektórzy sprytniejsi próbują jeszcze dziś żerować na ludności indiańskiej, sprzedając turystom strzały indiańskie, narzuty z sierści guanako i malownicze peruki — wspomnienia po plemionach już wymarłych lub będących na wymarciu.

Nieudany zamiar Hitlera

„DAILY TELEGRAPH" — LONDYN

W jednej ze szwedzkich gazet wychodzących w Molmoe, ukazał się artykuł lotnika byłej hitlerowskiej Luftwaffe, Hansa Panhertza, zamieszkałego w Szwecji. Autor artykułu pisze, że tuż przed zakończeniem wojny Hitler chciał wykonać swój zamiar bombardowania Nowego Jorku. W tym celu miano już nawet rozpocząć seryjną produkcję specjalnych, sześciomotorowych „Junkersów 390", o wadze 97 ton, łącznie z ładunkiem bomb. Zasięg lotu tego bombowca wynosił 9375 mil, bez lądowania. Miały one startować w Bordeaux, i po zrzuceniu bomb na Nowy Jork wracać do bazy.

W roku 1944 prototyp „Junkersa 390" był już gotów do lotu. Hans Panhertz zdążył go nawet wypróbować, wykonując długi lot z Niemiec do Capetown i z powrotem. Ze wspomnień pilota wynika, iż próbny lot wypadł nader pomyślnie. Jednakże plan rajdów bombowych na Nowy Jork odłożono na później z braku odpowiednich środków. Jakich — autor nie pisze.

Pierwszy model „Junkersa 390" został zniszczony w początkach 45 roku z obawy, żeby nie wpadł w ręce szybko posuwających się wojsk amerykańskich.

Marihuana w kioskach?

„BUSINESS WEEK" — NOWY JORK

Właściciele amerykańskich kompanii tytoniowych bezradnie rozkładają ręce: oto już drugi rok z rzędu popyt na produkowane przez nich wyroby gwałtownie spada. Nie rezygnują jednak z walki o klienta i mają zamiar, w najbliższym czasie, wypuścić na rynek papierosy z marihuaną.

Chociaż palenie marihuany jest oficjalnie zabronione, władze patrzą przez palce na coraz częstsze przypadki naruszania tego zakazu. Na sprzedaży, tak popularnego ostatnio narkotyku nielegalni geszefciarze zarabiają ok. 100 mln dolarów rocznie. Eksperci zakomunikowali, iż do „złego zielska" mają pociąg setki tysięcy Amerykanów.

I oto, ostatnio, coraz częściej rozlegają się wołania o wydanie zezwolenia na legalną sprzedaż papierosów z marihuaną. Nie kto inny, jak Roger Egeberg, wiceminister zdrowia, oświaty i opieki społecznej oświadczył niedawno, iż popiera wniosek o złagodzenie kary za palenie marihuany.

Uzasadnienie: substancja ta nie jest aż tak silnym narkotykiem, jak heroina, czy LSD.

Bostoński adwokat, Joseph Othery, przypuszcza, iż obecne przepisy będą zmienione do 1976 r. Dzisiejsze nastolatki będą wówczas stanowić przeszło połowę wszystkich wyborców.

Tytoniowi potentaci, zamierzają obłowić się głównie kosztem młodzieży. „O ile palenie marihuany będzie oficjalnie dozwolone, przy kioskach z papierosami stać będą długie kolejki hippiesów i im podobnych" — powiedział pewien długowłosy młodzieniec.

W gazetach pojawiły się nawet informacje, iż większe firmy tytoniowe zastrzegają sobie już nazwy dla nowych gatunków papierosów z marihuaną. Prasa doniosła także, że przemysłowcy skupują ogromne połacie ziemi w Meksyku i Ameryce Środkowej, aby móc uprawiać surowiec tego narkotyku.

„Dzikie Anioły"

„TIMES" — LONDYN

Przez wiele lat Dania uchodziła za „wzór antyrasistowskiej polityki" w Europie zachodniej. Jednak na początku października br. Kopenhaga stała się widownią krwawych starć między robotnikami - obcokrajowcami a rasistami, należącymi do bandy o nazwie „Dzikie Anioły".

Po kilku potyczkach, kiedy w ruch poszły rowerowe łańcuchy i kawałki metalowych rur, grupa cudzoziemskich robotników zamieściła w duńskich gazetach apel, w którym wezwała do „ukrócenia napadów na niewinnych ludzi li tylko z powodu koloru ich skóry" i uprzedziła, że w przeciwnym razie da napastnikowi należny odpór.

Wybuch tych starć zmusił rząd duński do spojrzenia pod innym kątem na położenie cudzoziemskich robotników. Jak się okazało płacą oni o wiele więcej za mieszkania niż miejscowa ludność. Wielu właścicieli przedsiębiorstw najwyraźniej obcina im stawki, a w odpowiedzi na protesty radzi... uspokoić się i rozejść się do domów.

Po rasistowskim napadzie na jedną z kopenhaskich restauracji, w której cudzoziemscy robotnicy zazwyczaj jadają kolację, w stołecznej telewizji wystąpił komisarz policji Jurgen Saandholt. Nie można powiedzieć, żeby swoim wystąpieniem rozładował i tak już napiętą sytuację. Oświadczył on bowiem, jakoby zagraniczni robotnicy sami spowodowali rozpalenie tych antagonizmów albowiem „opierają się asymilacji i żyją w odosobnieniu"...

Czy literatura ma prawa i obowiązki?

Dalszy ciąg ze str. 1

my do czynienia z sytuacją, którą najlepiej odmalować można powiedzeniem Zagłoby: „Diabeł ubrał się w ornat i na mszę dzwoni". Przecież to właśnie krytyka w okresie minionym próbowała odciąć próby współczesnych pisarzy od najświetniejszych tradycji literatury polskiej. A teraz krytycy za swoje grzechy chcą bić się w cudze piersi. No cóż, przywykliśmy do tego i tylko jedno jest pocieszające: czegóż to już krytycy nie mówili na nasz temat, a jednak literatura istnieje, jest i będzie.

Literatura poczęta u nas przed wiekami, ta, którą zaczynał jeszcze Kochanowski pamiętnymi słowami: „O, nierządne królestwo i zginienia bliskie" była zawsze zatroskana o losy ojczyzny. Ten nurt przewija się przez wszystkie epoki, raz słabiej, innym razem silniej, ale okresów niezaangażowania wskazać bym nie umiał. Co więcej, jeśli wolno mi odwołać się do doświadczeń osobistych, to powiem, że literatura była dla mnie zawsze szczególną postacią służby artystycznej i ideowej. Mógłbym wymienić dziesiątki nazwisk pisarzy, którzy są tej formule wierni, mógłbym ich wskazać nawet przy tym stole, co byłoby o tyle uzasadnione, że krytyka rozdzierająca histerycznie szaty, nigdy ich nie zauważyła. Nie stworzono przecież u nas systemu wartości na gruncie literackim, u nas urządzało się polowania na ewenementy. Teraz, ci sami ludzie, ewenementy gwałtownie zwalczają. Tego rodzaju krytyka nie może oczywiście wpływać na bieg zjawisk artystycznych, ona nie funkcjonuje w świadomości potocznej przeciętnego czytelnika i w świadomości pisarzy. Ta krytyka jest niebecna w literaturze.

Dlatego też sami musimy zastanowić się nad istotą zaangażowania nawiązując do polskiej tradycji literackiej. Bałbym się, rzecz jasna, konstruowania kanonów, tworzenia dekalogu obowiązującego bezwzględnie i bez reszty. Mamy przecież za sobą smutne doświadczenia okresu dekretowania literatury. Ale o zaangażowaniu mówić trzeba.

LEON GOMOLICKI: Każde pokolenie ma swoją własną postawę twórczą, a tym samym swoje widzenie zaangażowania, swoje treści, poprzez które postawę tę manifestuje. Na powojennej Polsce silnie zaciążył okres okupacji. Dla pisarzy, którzy ten okres przeżyli zaangażowanie polegało na uświadomieniu sobie i społeczeństwu, co poprzez wojnę stało się z człowiekiem. Optymistyczny wybuch nowego humanizmu mówi tu sam za siebie. I kiedy spojrzeć na te lata odradzania się naszego bytu, musimy stwierdzić wielkie zaangażowanie połączone z ogromnym wysiłkiem myślowym i twórczym. To sprawy okupacji, ruchu oporu, powstawania po wojnie nowego świata zbudowanego na nowych podstawach. Dopiero później procesy te uległy zakłóceniom, zmieniło się widzenie literatury.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: Jeśli dobrze zrozumiałem Jana Koprowskiego, zarzucił on literaturze zachodniej brak zaangażowania. Myślę, że to tylko pół prawdy, że tam się po prostu inaczej zaangażowanie pojmuje, a na te różnice podstawowy wpływ wywarł odmienny bieg historii w Polsce i w Europie. W naszym kraju, począwszy od wieku XIX, literatura była nieustannie zaangażowana z wyjątkiem może okresu moderny, chociaż nawet modernizm wydał u nas twórcę tej miary, co Wyspiański. Literatura polska była i jest zaangażowana ze względu na biologiczne niemal zagrożenie istnienia narodu. I jeżeli to biologiczne zagrożenie bytu narodowego odczuliśmy szczególnie silnie w okresie okupacji, to i dziś je w jakiś sposób odczuwamy ze względu na sytuację międzynarodową w świecie podzielonym na obozy, z jego nie rozwiązanymi problemami rozbrojenia. Ta sytuacja wpływa pośrednio na ocenę zjawisk literackich. Pisarz, który chciałby wyjść poza granice zagadnień ściśle narodowych, może się narazić na zarzut izolacjonizmu, abstrakcjonizmu czy formalizmu. Tym bardziej, że zwłaszcza w ostatnich latach mamy do czynienia z silnym akcentowaniem zaangażowania choćby dlatego, że ukazuje się wiele książek o okupacji, partyzantach, wojsku, o okresie kultu jednostki.

A przecież mogą być inne formuły zaangażowania. Przypomnę tu widzenie tej sprawy przez Sartre'a, bo wynikają z niego daleko idące konsekwencje. Jest on zdania, że pisarz nie ma wyboru, bo pisząc zostaje zmuszony do odsłaniania świata, a zwłaszcza człowieka innym ludziom, a przecież odsłaniać to tyle co zmieniać. Tu, jak myślę, spotykamy się z nim, bo przecież uważamy, że poznajemy i wyjaśniamy rzeczywistość, aby ją przekształcać. Ale w innych sprawach pisarzowi polskiemu trudno byłoby zgodzić się z Sartrem. Twierdzi on przecież, że zadaniem pisarza jest takie przedstawienie świata, aby żaden człowiek nie mógł uznać się za niewinnego. Kiedy czytałem te słowa przypomniałem sobie „Niemców" Kruczkowskiego, z tym kapitalnym zagadnieniem moralnym, że właściwie nic nie tłumaczy profesora Sonnenbrucha, że nie może on się uznać za niewinnego. Myślę, że my nie mamy takich obciążeń. Wracam jednak do tego, co mówi Sartre. Uważa on, że nawet pisarz zajmujący się czczymi igraszkami słownymi, formalnymi, jest również zaangażowany, a to przez brak zaangażowania. Wygląda to na paradoks...

LEON GOMOLICKI: Trzeba by zastanowić się, jaki cel przyświeca tej zabawie.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: Oczywiście, bo może to być manifestacja polegająca na odrzuceniu obowiązujących konwencji i wymagań, jakie naród stawia pisarzowi. Ucieczka w igraszki słowne, w antypowieść może być po prostu formą buntu, protestu.

JAN KOPROWSKI: Mnie interesuje problem wyjściowy — prawa i obowiązki literatury. Można by się częściowo zgodzić z tym, że w pewnym okresie jakby osłabło natężenie zaangażowania naszej literatury, ale miało to przecież swoje uzasadnienie. Była to ostatecznie reakcja na okres miniony, w którym mieliśmy do czynienia z prymatem tematu. Bo przecież nie takie to dawne czasy, kiedy sam wybór tematu decydował niejako o wartości książki niezależnie od jej walorów artystycznych. W tym czasie literatury innych krajów poszły naprzód, dokonały się rewolucje formalne w zakresie środków wyrazowych i kiedy się ocknęliśmy, można było mówić o pewnym artystycznym zapóźnieniu literatury polskiej. Wtedy to nastąpił gwałtowny, artystyczny przeskok. Zerwaliśmy z prymatem tematu na rzecz prymatu formy, drążenia języka. Mogło to wytworzyć złudzenie, że literatura nasza oddaliła się od typowo polskiej tradycji służenia narodowi. Ale to tylko złudzenie. Bo przecież eksperymenty formalne podjęte zostały w tym celu, aby naszą literaturę pchnąć dalej, żeby uatrakcyjnić temat, przybliżyć go czytelnikowi przy pomocy współczesnych środków wyrazu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Słusznie zauważył Gomolicki, że każda epoka ma swoje wyznaczniki zaangażowania. Bo zaangażowanie wyraża się nie w samym przedmiocie, tylko poprzez stosunek do przedmiotu, poprzez obronę i przedstawianie naszych racji. Mówiliśmy tu już o zaangażowaniu w oparciu o podejmowanie takich tematów, jak wojna czy ruch oporu i nikt nie może odebrać naszej literaturze tego co w tym zakresie wyraziła. Ale przecież istnieją jeszcze inne sprawy godne pióra pisarza. Istnieje człowiek współczesny, któremu zagraża wyścig zbrojeń i człowiek bezradny często wobec problemów dynamicznego rozwoju świata pojmowanego najogólniej. Myślę, że mamy prawo wychodzić także poza narodowe obowiązki, choć one mają pierwszeństwo, myślę, że powinniśmy pamiętać o niepokojach człowieka współczesnego wobec rozwoju świata. Skrajny determinizm, tak jak go kiedyś pojmowaliśmy, byłby uproszczeniem. Spełnienie określonych warunków społeczno-klasowych nie przeobrazi automatycznie człowieka, literatura też ma tutaj coś do powiedzenia. W odniesieniu do wszystkich, bo mimo różnic, wiele nas przecież łączy z literaturami innych krajów, choćby dlatego, że literatura jest niepodzielna, nie da się zamknąć w opłotkach. Chodzi tylko o to, aby pamiętać w tym wszystkim o swoim własnym miejscu. W przeszłości nasze grzechy polegały na tym, że wypracowaliśmy zasadę: ex oriente prima lux, najlepsze na Wschodzie, a później dla odmiany pozwoliliśmy sobie wmówić: na Zachodzie — światło — i czerpaliśmy szeroko stamtąd. A przecież Polacy nie gęsi i to nieprawda, że zawsze byliśmy pawiem i papugą. Trzeba więc zachować umiar, ale trzeba też korzystać z istniejącego dorobku dziejowego całej ludzkości. A co więcej, skoro jesteśmy ludźmi tego czasu, musimy wyrażać niepokoje wspólne wszystkim ludziom naszego czasu. Bo przecież zaangażowanie jest przede wszystkim gorącym stosunkiem do człowieka, jest troską o jego dobro w tym szybko rozwijającym się świecie. I to widzenie zaangażowania jest u nas troszkę zapoznane.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: Dziwi mnie trochę to utyskiwanie krytyki, niezadowolonej z etapu na etap. Jest to o tyle uderzające, że czynniki kształtujące politykę kulturalną nie przeszkadzają przecież w stosowaniu różnorakich form wypowiedzi. I tak być powinno. Trzeba oczywiście preferować utwory ściśle związane z zagadnieniami bytu narodowego, ale warto pamiętać także o książkach pozornie odchodzących od zaangażowania przynajmniej w wąskim, niewłaściwym znaczeniu tego pojęcia. Bo przecież nie forma rozstrzyga, czego najlepszym przykładem jest twórczość Buczkowskiego, zaangażowana bezpośrednio, mimo stosowania przez tego pisarza najbardziej jaskrawych środków wyrazowych nowej powieści czy jak to się powiada, antypowieści. Żyjemy w naszym kraju pod naciskiem historii i jest naszym moralnym obowiązkiem pisać w sposób zaangażowany, ale to nie może oznaczać utrudnień w stosowaniu środków wyrazu odbiegających od konwencji realistycznej. Zaangażowanie to coś więcej niż realizm.

KONRAD FREJDLICH: Jan Koprowski słusznie zauważył, że w pewnym okresie zaangażowanie utożsamiano z tematem. Miało to swoje następstwa, ponieważ niezaangażowanie także utożsamiano z tematem, z całym zespołem tematów. Wynikają stąd pewne słabości naszej literatury, bo chociaż starała się ona współkształtować świadomość narodową, istnieją obszary, na które nie odważyła się wkroczyć. Nie mamy przecież do dziś książki oddającej pełny obraz września, nie mamy arcydzieła na miarę tamtej tragedii. Myślę, że obraz literacki powstania warszawskiego także nie jest najwyższego lotu, chociaż tamto wydarzenie do dziś rzutuje na postawy ludzkie pokolenia, z którego wyszedł Baczyński, Gajcy i tylu innych poetów-żołnierzy. Nawet dla pierwszych dni nowej rzeczywistości nie znaleźliśmy chyba jeszcze dostatecznie nośnej artystycznej formuły. A chodzi tu także o sprawy dramatyczne, chodzi o ludzi walczących pod różnymi wprawdzie sztandarami, ale o tę samą sprawę i z tym samym wrogiem, którzy z chwilą zwycięstwa skierowali broń przeciwko sobie.

Czy istnieją więc tematy-tabu, a w każdym razie tematy, których podjęcie rodzi ryzyko wydawnicze? Nie sformułowałbym tego może tak ostro. Uważam jednak, że są sprawy, o których nasza literatura powiedziała zbyt mało i tu widziałbym główne źródło jej słabości. Myśmy tu literaturę chwalili i to dobrze, bo jest przecież co w niej pochwalić, ale musimy także dostrzec jej braki. Tylko, że braki te w nieznacznym stopniu obciążają pisarzy, bo właściwie chodzi tu o sprawy pozaliterackie. Dyskutuje się je teraz na łamach czasopism i jest to dyskusja potrzebna. Myślę, że jej konsekwencją będą nowe książki, chociaż trzeba będzie na nie trochę poczekać, bo książek nie pisze się tak szybko jak artykuły prasowe. Ale sprawa jest pilna, jeśli literatura nasza ma rzeczywiście wyrażać to, co czują i myślą czytelnicy.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Dla mnie sprawa września jest dowodem na to, jak bardzo literatura polska liczyła się ze współczesnością przejmując pośpieszne, doraźne oceny. Wiemy dziś, że wrzesień, polski wrzesień, to sprawa katastrofy, która wstrząsnęła całym światem. Tymczasem uwierzyliśmy przed laty, a pisarze dali temu wyraz, że wrzesień był prywatną wojną rządu sanacyjnego i sanacyjnej armii i zakończył się szosą zaleszczycką. Oczywiście rząd sanacyjny poniósł odpowiedzialność za nieprzygotowanie Polski do wojny, ale z drugiej strony był to przecież pierwszy w Europie rząd, który zagrodził hitleryzmowi drogę do panowania nad światem. Przypomnijmy tutaj, co pisał o wojnie w Polsce Załuski. Jeśli w działaniach bojowych zginęło 200 tysięcy żołnierzy polskich wliczając w to partyzantów, zaś ogólne straty sięgają 5.800.000 obywateli polskich, to była to na pewno wojna narodowa. Zgadzam się więc, że nie mamy wielkiej, artystycznie prawdziwej syntezy września, kiedy to na polskich polach ważyły się losy ludzkości. Myślę, że literacki obraz września jest najlepszym przykładem źle pojętego zaangażowania. Literatura musi być nośna, musi iść przez pokolenia, nie zaś od traktatu politycznego do traktatu. A przecież ta ocena września nie była oceną pisarzy, oni tylko jej zaufali.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: Padło tutaj słowo: tabu, przez które ja rozumiem pewne obszary tematyczne dla literatury niedostępne. Ale ja widzę ten problem nieco inaczej. To chyba nie sprawa tematów, bo pisać można o wszystkim, niedostępne zaś są tylko pewne sposoby przedstawiania. Weźmy choćby okupację, która przyniosła wielką narodową żałobę. Wielka tragedia musi być opisywana z powagą, nie można pozwolić sobie na inny ton. Trudno jest sobie wyobrazić książkę o okupacji napisaną w konwencji szwejkowskiej. Nie wiem, czy dobrze dobrałem ten przykład, ale problem sposobów przedstawiania na pewno istnieje.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: Historycy twierdzą, że póki ludzie żyją, to nie ma historii. Można o nich pisać, kiedy już umrą. Czyżby pisarzy miały obowiązywać te same zasady? Trudno się z tym zgodzić. Żyjemy w kraju, gdzie formują się nowe normy i wartości moralne, po prostu nowy człowiek. Przedstawianie tego procesu jest obowiązkiem literatury. Czasem jednak posądza się pisarzy o to, że walcząc o czystość intencji moralnych człowieka, o lepsze jego wyposażenie psychiczne, mają oni intencje nieczyste, jeśli nie wręcz wrogie. Powiedziałbym, że zbyt często mamy kłopoty z powieściami o normach moralnych naszego czasu.

LEON GOMOLICKI: To prawda, że są trudności i niewypały bo przecież arcydzieła nie rodzą się z dnia na dzień. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że zaangażowanie jest aktem odwagi, gdyż wymaga od pisarza podejmowania tematów w sposób bezpośredni, na gorąco, a tu największe szanse ma właściwie reporter albo pamiętnikarz. Pisarz zawsze ryzykuje najwięcej. Pisząc z dystansu nie popełni już błędów, ale nie będzie też zaangażowany.

KONRAD FREJDLICH: Myślę, że ta uwaga Leona Gomolickiego, który trafnie ujął rozdarcie pisarza atakującego tematykę współczesną nie odstraszy nas od zaangażowania. Sporo powiedzieliśmy sobie tutaj na ten temat i choćby dlatego warto było się spotkać. Nie sądzę, rzecz jasna, aby nasza rozmowa miała jakiś wpływ na rozumienie tych spraw przez krytyków. Jeśli nie czytają naszych książek, trudno wymagać od nich, aby czytali gazety, słowa te do nich po prostu nie dotrą. Nie martwi mnie to zbytnio, gdyż jak ktoś tutaj zauważył, literatura mimo wszystko istnieje i będzie istnieć. Tym optymistycznym akcentem proponuję zakończyć nasze spotkanie dziękując jednocześnie Panom za aktywny, rzetelny udział w dyskusji.

ANDRZEJ GRUN GRAFIKA

LOGARYTMY PRZED PÓŁNOCĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

ki i fizyki. Był to na razie kurs przygotowawczy dla kandydatów na wyższe uczelnie, traktowany jako doświadczalny i nazwany „małym eksperymentem". Natomiast od września tego roku rozpoczęto już właściwe wykłady dla pierwszego roku studiów dla pracujących. W pierwszym semestrze nadano 45 półgodzinnych wykładów matematyki i po 16 chemii i geometrii wykreślnej, w drugim semestrze — 39 wykładów matematyki i 54 fizyki. W następnym roku akademickim — 1967/68 wykłady Politechniki Telewizyjnej objęły także drugi rok studiów. Doświadczenia wykazały jednak, że bardziej przydatny jest kurs przygotowawczy, toteż w bieżącym roku na jego korzyść zrezygnowano z drugiego roku.

Te wiadomości o narodzinach PTV powinny zaspokoić dociekliwość telewidzów pytających — co to w ogóle jest. Trzeba przy tym pamiętać, że PTV, mimo nazwy, nie jest uczelnią w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Wykłady obejmują tylko podstawowe przedmioty i zostały pomyślane jako pomoc przede wszystkim dla samodzielnie przerabiających materiał studentów studiów zaocznych. Wykłady telewizyjne mają w tym wypadku spełniać trzy zadania: poprawić wyniki nauczania, rozszerzyć zakres rekrutacji i przyciągnąć studentów z miejscowości odległych od uczelni. Odbiorcami wykładów według wstępnych założeń powinni być także słuchacze studiów wieczorowych i dziennych, uczniowie szkół średnich, inżynierowie, technicy, nauczyciele, słowem wszyscy, którzy chcą poszerzyć, uzupełnić lub po prostu odświeżyć zakres swoich wiadomości z przedmiotów ścisłych.

Odpowiedzi na pytanie — kto ogląda Politechnikę Telewizyjną szukali nie tylko zacietrzewieni telewidzowie, ale przede wszystkim sami jej twórcy. Toteż w krótkim czasie po rozpoczęciu wykładów rozesłano do zainteresowanych ankiety. Ze strony Telewizji zajął się tym Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych. Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego reprezentował Międzyuczelniany Zakład Badań nad Szkolnictwem Wyższym. Jedni i drudzy zebrali szereg interesujących materiałów umożliwiających bliższe poznanie odbiorców.

Okazało się, że w grupie społeczno-zawodowej ankietowanych najczęstszymi słuchaczami wykładów są technicy pracujący i uczący się. Wypełnili oni 41,7 proc. ankiet. Drugie pod względem wielkości grono słuchaczy stanowią osoby nie pracujące, a więc studenci i uczniowie, od których nadeszło 17 proc. ankiet. W dalszej kolejności — 8,7 proc. nauczyciele, 6,5 proc. inżynierowie; w mniejszym stopniu inni pracownicy umysłowi i robotnicy. Programem interesują się w przytłaczającej większości mężczyźni — 89 proc. ankietowanych. Największą grupę — 31,8 proc. stanowili ludzie w wieku 25—34 lat, dwie następne po około 15 proc. — słuchacze w wieku 19—24 i 35—49 lat.

Zdecydowana większość — 54,7 proc. jako motyw skłaniający do oglądania programu PTV wymieniła chęć ułatwienia sobie nauki na uczelni. Warto tu chyba przytoczyć i inną liczbę, która świadczy, że są również słuchacze „bezinteresowni" 7,4 proc. ankietowanych osób ogląda wykłady telewizyjne, aby przypomnieć sobie kiedyś nabyte, a teraz zapomniane już wiadomości.

Ankiety przyniosły wiele ciekawego materiału, ale, przeprowadzone w początkowym okresie nadawania PTV, nie dały pełnej odpowiedzi na problem najważniejszy — jakie są efekty telewizyjnych wykładów.

Trudno jest odpowiedzieć ilu studentów uczelni technicznych słucha wykładów telewizyjnych. Można natomiast przytoczyć fakty świadczące o wpływie PTV na wyniki nauczania. Jedna z ankiet Międzyuczelnianego Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym dostarcza dość istotnych argumentów przemawiających za skutecznością wykładów. Na 177 osób, które systematycznie słuchały PTV, egzaminy wstępne na uczelnię zdało 80, tj. 45,1 proc. Natomiast spośród 183 osób słuchających wykładów telewizyjnych dorywczo, zdało tylko 36 osób, tj. 19,6 proc.

Podobne badania przeprowadzono na niektórych uczelniach. I oto okazało się, że wyraźnie zmniejszył się odsiew po pierwszym roku. W grupach studentów systematycznie korzystających z wykładów telewizyjnych średnia ocena wzrosła: dla geometrii wykreślnej o prawie całą jednostkę, dla matematyki i fizyki o pół jednostki. I to są już efekty, które się liczą.

Do tej pory nie mówiliśmy o jeszcze jednym niezmiernie w politechnicznym kształceniu telewizyjnym ważnym i ciekawym problemie. W roku 1967 Ministerstwo Oświaty kandydatom ubiegającym się o przyjęcie na studia techniczne dla pracujących dało możliwość zdawania egzaminów wstępnych od razu na drugi rok studiów. Materiał pierwszego roku kandydaci mieli przygotowywać samodzielnie w oparciu o wykłady PTV. Posunięcie ze społecznego punktu widzenia bardzo pożyteczne dało ludziom pracującym możliwość samodzielnego sprawdzenia swoich wiadomości, spokojnego wejścia w studia, dłuższego przygotowania się do egzaminów albo nawet rezygnacji z podjęcia studiów.

Nie we wszystkich ośrodkach politechnicznych w Polsce zainteresowanie wykładami PTV jest jednakowe. Gdyby popatrzeć na nią poprzez wyniki np. Politechniki Łódzkiej powodów do radości nie będzie. Już ankiety wskazały na słabe zainteresowanie PTV słuchaczy z Łodzi. Potwierdziły to wyniki egzaminów na drugi rok. W roku 1960 do egzaminów na drugi rok studiów dla pracujących dopuszczono łącznie na 5 wydziałów, 19 osób spełniających warunki wymagane przy przyjęciu. W 1969 r. — 17 osób. Z tego aktualnie 2 osoby studiują na Wydziale Mechanicznym i 3 na Elektrycznym. Jak na duży ośrodek przemysłowy to bardzo niewiele.

Umowa o współpracy z UNESCO będzie obowiązywać do końca roku 1970. I właściwie po tym terminie można by zaprzestać nadawania Politechniki Telewizyjnej. Wiadomo już jednak że zarówno władze oświatowe, jak i sama Telewizja nie ma tego zamiaru. I słusznie. Myśli się nawet, aby rozszerzyć wykłady politechniczne o program dla absolwentów wyższych uczelni. Przynosiłby on wiadomości o najnowszych osiągnięciach myśli technicznej na świecie i w ten sposób uzupełniał wiedzę zdobytą na studiach. Na razie jednak są to plany dość odległe, ściśle uzależnione od drugiego programu TV. Wiadomo, za to, że do drugiego programu, przynajmniej w pierwszym okresie PTV nie wejdzie i nadal będzie emitowana w pierwszym. Skoro tak, warto przyjrzeć się miejscu, jakie Politechnika Telewizyjna zajmuje w dotychczasowym programie. Pierwszy wykład nadawany jest o godzinie 14.25. Zbadano, że ogląda go w tym czasie około 2 tysięcy słuchaczy w zorganizowanych grupach na uczelniach. Kto natomiast może w tych godzinach oglądać wykłady indywidualnie — poza nauczycielami i uczniami — nie bardzo wiadomo. Jest to bowiem pora, w której Polacy na ogół jeszcze pracują. Powtórzenie wykładu emitowane jest około godz. 23. „Kiedy wracam z pracy jest już za późno na wykłady popołudniowe, a wieczorem człowiek jest zbyt zmęczony i umysł źle już pracuje, rano zaś trzeba znów wcześnie wstać do pracy". To nie są kaprysy słuchaczy Politechniki Telewizyjnej. Późnym wieczorem niewiele osób może w sposób właściwy przyswajać podawany materiał. Ważny jest więc szczególnie wykład popołudniowy. W roku akademickim 1969/70 godziny emisji zostaną przesunięte na 15.30 i 16.05. Lepiej, ale przesunięcie jeszcze chyba zbyt małe.

Trzeba się również zastanowić, czy nie należałoby nieco pomóc ludziom, którzy zgodnie z zarządzeniem Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego mogą po wysłuchaniu wykładów PTV zdawać od razu na drugi rok studiów. Praktyka wykazała, że większość z nich odpada. Dlaczego? Człowiek uczący się ma wątpliwości. Dlatego pyta. Tutaj pytać nie ma kogo. A są to przecież wykłady nauk ścisłych, wystarczy jedna luka w podstawowych wiadomościach, aby stracić cały wykład. Stąd wniosek by organizować na uczelniach, na wzór studiów zaocznych, seminaria dla samodzielnych słuchaczy PTV. Wymagałoby to co prawda wcześniejszego zgłoszenia się na wybraną uczelnię, ale przecież nie jest to sprawa wstydliwa. Wydaje się, że z pomocą mogłyby przyjść tu również organizacje techniczne, a nawet związki zawodowe. Mam na myśli wystaranie się o skromne miejsce, gdzie słuchacze PTV mogliby się spotkać, wymienić poglądy, wyjaśnić wątpliwości. Mogliby to robić we własnym gronie, od czasu do czasu przy pomocy inżyniera-konsultanta.

Te propozycje traktować należy jako próbę dyskusji na temat udoskonalenia przyszłego kształtu PTV. Polska jako pierwszy kraj rozpoczęła nadawanie wykładów Politechniki Telewizyjnej. W ZSRR zaczęto w dwa lata później, a według opinii naukowców wyprzedzono nas zarówno pod względem metod, jak i efektów. Dlatego pierwszeństwo w tym wypadku nie przynosi nam żadnej satysfakcji.

BOGDA MADEJ

POLONICA

POPULARNOŚĆ ŁOMNICKIEGO

Jak wiadomo popularny aktor polski Tadeusz Łomnicki decyzją jury VI Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Moskwie otrzymał nagrodę za najlepszą męską rolę (Wołodyjowski). Obecnie film „Pan Wołodyjowski" wszedł już na ekrany kin ZSRR.

Miesięcznik „Inostrannaja Litieratura" w dziewiątym numerze z r. b. zamieszcza sylwetkę laureata przypominając jego najciekawsze kreacje teatralne i filmowe. Cytuje też, za tygodnikiem „Ekran", obszerne fragmenty wywiadu udzielonego przez Łomnickiego temu czasopismu.

Publikacja utrzymana jest w ciepłym, niezwykle sympatycznym tonie.

K. F.

T. RÓŻEWICZ W AUSTRII

Najwybitniejszy „współczesny klasyk polski" — Tadeusz Różewicz należy w Austrii do najwyżej cenionych pisarzy polskich.. Zarówno jego sztuka jak wiersze często docierają do austriackiego czytelnika i miłośnika teatru. Wystawienie „Kartoteki" w Studententheater in der Biberstrasse stało się w 1963 r. wielkim sukcesem, o którym pisała cała austriacka prasa. Również wystawienie „Świadków, albo naszej małej stabilizacji" w Innsbrucku przyjęto w 1968 r. bardzo życzliwie. Uznano te sztuki nie tylko za wybitne dzieła polskiej dramaturgii, ale całej współczesnej dramaturgii europejskiej. Dość często pojawiają się też w prasie wiersze Różewicza. Są one prezentowane także w antologiach, dostępnych w Austrii.

Ostatnio obszerną recenzję tomu wierszy T. Różewicza „Offene Gedichte" w przekładzie K. Dedeciusa z okazji 22 Tygodnia Austriackiej Książki przyniósł tygodnik „Die Furche" (1969, nr 44). Jest to właściwie portret literacki polskiego liryka. Recenzent znakomicie odczytał wiersze Różewicza, powołując się też przy okazji na polską krytykę literacką. Recenzję zdobi zdjęcie poety.

(er)

POLONICA

JAN BĄBIŃSKI

NOC W BUKARESZCIE

Pociągi spóźniają się nie tylko w Łodzi i Warszawie.

Z międzynarodowego ekspresu Sofia — Warszawa wysiadłem na dworcu w Bukareszcie — Nord nie bez swoistej „Schadenfreude". No proszę, niby pociąg pośpieszny, a stanął w stolicy Rumunii z półtoragodzinnym opóźnieniem. Ale prawie natychmiast opadła mnie rozterka. Pełen złych przeczuć udałem się w poszukiwanie jakiejś placówki wymiany pieniędzy. Dopiero będzie heca, jeśli wszystkie te Wechselstuben i Exchange — Offices są już pozamykane. Niestety, najgorsze obawy sprawdziły się. Dworcowa placówka była już nieczynna. Bądź co bądź dochodziła jedenasta.

Usłużna panienka w Biurze Informacji poradziła.

— Niech pan spróbuje w hotelu „Nord", może jeszcze wymienią...

Spróbowałem, ale bez skutku. Owszem, jowialny jegomość w hotelowej recepcji spojrzał na mnie początkowo z nie jakim zainteresowaniem. — A co chciałby pan wymienić? Polskie złotówki, ach tak... hm, nic się nie da zrobić. Punkt wymiany jest już nieczynny, proszę się zgłosić rano przed ósmą... Noc ciemna, wiatr zimny, jak tu się pętać po wymarłych ulicach bez złamanej „bani" przy duszy? Bez pieniędzy w obcym mieście, człowiek zawsze czuje się dziwnie głupio, nago i bezbronnie. Przeklęte opóźnienie, gdyby pociąg przyjechał w oznaczonym czasie, wcale tych kłopotów by nie było.

Wszystko przez jakiegoś Grabowskiego.

Ledwo usiadłem w Ruse w przedziale sofijskiego pociągu, gdy ekspres zaraz za mostem na Dunaju utknął w miejscu i za nic nie chciał ruszyć dalej. Co się u licha stało? Korytarzem wagonu raz po raz przebiegali rumuńscy strażnicy graniczni z polskim paszportem w ręku. Byli wyraźnie podnieceni. Prawdopodobnie kogoś szukali. Do przedziału wszedł młody człowiek, krótko strzyżony, o wpadniętych policzkach z czarną teczką w ręku. Taki chudzielec i mizerak, że grosza byś nie dał. Tylko oczy dawały do myślenia. Bystre, ruchliwe oczy, które z miejsca zmierzyły mnie od stóp do głowy i zatrzymały się w zadumie na niewielkim skórzanym neseserze, który stał u moich stóp. Nieznajomy utopił w neseserze wzrok, jakby chciał dojrzeć przez skórę jakieś ukryte przegródki, tajne zawiasy i potrójne może dno.

Rozpromienił się.

— To pan nie wie? Znaleziono polski paszport a turysta zniknął. Nazywa się Grabowski , według mnie gdzieś się zachlał w Ruse i został na dworcu...

Więc poszło o Grabowskiego, albo o coś całkiem innego, dość, że opóźnienia odrobić się nie dało i teraz niech kto mi powie co mam robić w Bukareszcie nocą bez jednej lei w kieszeni. Trzeba wracać na dworzec. Innego wyjścia nie ma, bo zaczyna siąpić drobny jesienny deszcz i robi się coraz chłodniej.

Olbrzymi dworzec Bucuresti — Nord, przypomina do złudzenia gigantyczne Waterloo i Victoria — Stations w Londynie.

Poczekalnia była czysta, przestronna i miała nadspodziewanie wygodne fotele.

Rozsiadłem się, patrzę, a tu we drzwiach stanął on, znajomy z pociągu. Trzymał swą czarną teczkę w ręku i na mój widok zatrzepotał rzęsami. Zrobił ruch jakby miał zamiar podejść, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i nagle zawrócił, rzucając mi na pożegnanie ironiczny uśmiech. Może teraz dopiero pojął, że jestem turystą, bez żadnego pojęcia, ot jołopem do kwadratu, który nie umie sobie w życiu radzić, skoro noc spędza na dworcu? Byłem przekonany, że on żadnych kłopotów finansowych nie ma i wszędzie czuje się jak u siebie w domu. Nie zresztą przeciw niemu nie miałem. W wagonie był miły i towarzyski. O, nic nie pytany rozpowiadał o swych podróżach. Kiedy przysiadła się do nas jakaś Polka w średnim raczej wieku, obłożona do niemożliwości tobołami, też nie przerwał swych opowieści. Niby dlaczego miałby, przecież jesteśmy wśród swoich, no nie? Dama skinęła głową ze zrozumieniem. A pani z Sofii? Tak, z Sofii. To po co było jechać tak daleko? On przyjechał do Ruse rano i wieczorem już odjeżdża.

Zdziwiłem się.

— Jakże, przyjechał pan do Bułgarii tylko na jeden dzień?

— Cóż w tym złego? — Tym razem spojrzał na mnie zaskoczony — Przecież inaczej do Rumunii dostać się nie można. Chyba, że ktoś pana prywatnie zaprosi. Więc biorę zwyczajnie w „Orbisie" wyjazd indywidualny do Bułgarii, wysiadam na pierwszej granicznej stacji, to jest w Ruse, i tego jeszcze dnia jadę pierwszym pociągiem do Bukaresztu. W Bukareszcie wysiadam, wolno

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Konfrontacje

PONIEDZIAŁEK: „...i poszli w czeski kraj" — śpiewa w znanej piosence Wojciech Młynarski. Po czesku „kraj" znaczy województwo, a celem mojej dwutygodniowej podróży jest Zapadnocesky Kraj — ziemia górzysta, położona między NRD a NRF, ze stolicą w Pilźnie, ziemia, która w 1938 roku była w znacznej części przedmiotem sudeckiego sporu.

Jeszcze nie tak dawno podróż do Czechosłowacji nie należała do największych atrakcji. Teraz jedni mi zazdroszczą, inni ostrzegają. Doniesienia prasowe mówią o postępującej stabilizacji i konsolidacji. To w życiu oficjalnym, a tak na co dzień?

WTOREK: Przyjechałem do Pilzna i od razu coś swojskiego. Przed chwilą przyszedł „Nord Expres", a przed dworcem — zupełnie jak na kaliskim — ani jednej taksówki. Na szczęście są gospodarze i służbowa „tatra". Lokuję się w „Slovanie" i niemal natychmiast stykam się z najżywotniejszymi problemami tej części Czech.

W miejscowej gazecie, „Pravda" — która rok temu obchodziła 50-lecie istnienia — czytam „Oświadczenie kierownictwa i organizacji partyjnej redakcji". Nosi ono znamienny tytuł: „Ujawniamy błędy, chcemy je naprawić".

„Dziś musimy zapytać siebie — czytam w tym „oświadczeniu" — po czyjej stronie staliśmy i po czyjej stronie chcieliśmy stać nadal".

„Oświadczenie" przyznaje, że zamiana hasła „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" na „Za Dubczeka, za Svobodu" miało niewiele wspólnego z internacjonalizmem. Przyznaje, że nawoływanie do protestów przeciw pobytowi w CSRS wojsk Paktu Warszawskiego i nazywanie ich okupantami przyniosło wiele politycznej i społecznej szkody.

Taką linię polityczną reprezentowała do niedawna jeszcze pilzneńska „Pravda" i dziś odchodzi od niej, aby służyć sprawie konsolidacji. Niełatwy to proces, bo zaczynać go trzeba od siebie.

Nie mamy zamiaru ukrywać przed tobą żadnych naszych kłopotów — powiedziano mi w redakcji „Pravdy" i na dowód tego zaproszono na posiedzenie nowej redakcyjnej rady.

Przez Czechy i Słowację przechodzi fala zmian personalnych. Ludzie skompromitowani antysocjalistycznymi poglądami i postępowaniem muszą odejść. Jednak istota zmian nie sprowadza się do zmiany tylko personalnej. Chodzi przede wszystkim o stworzenie warunków dla odrobienia olbrzymich strat, jakie powstały w społecznej świadomości. To nie jest proces łatwy ani krótkotrwały.

— Musimy przekonać ludzi — powiedział nowy naczelny redaktor pilzneńskiej „Pravdy", J. Wiendl — że mówimy i będziemy mówić prawdę. Nie mamy nic do ukrywania przed narodem.

Zapadnocesky Kraj najdłużej trwał na prawicowych pozycjach. Podobnych zmian dokonano już w innych województwach Czech. Taki sam proces trwa w centralnych organach w Pradze i Bratysławie. I tam odchodzą ludzie skompromitowani, a na zebraniach organizacji partyjnych w Radio i TV oceniono dotychczasową linię programową i postawę ludzi.

ŚRODA: Jest coś szokującego w tym bogactwie zabytków, jakie spotyka się tu na każdym kroku. Pilzneński rynek nie zmienił się od wielu, wielu lat. Coś tam dobudowano, coś odnowiono. W jego centrum wznosi się strzelista wieża gotyckiej katedry, a ratusz — dzieło włoskiego architekta — w przeciwieństwie do naszych wygląda niczym kupiecka kamienica i stoi w równym szeregu innych, renesansowych, barokowych i secesyjnych domów.

— Klatova, to wrota Szumawy — powiedział Wenca — zaczniemy więc od tego miasta, a do Szumawy, najpiękniejszych gór tej części Czech pojedziemy innym razem.

Klatova powstała w 1260 roku, a w czasach rewolucji husyckiej z XV wieku była jednym z ośrodków tego ruchu. Husyccy kaznodzieje zapowiadający rychły koniec świata, głosili, że tylko ci, którzy schronią się do 5 wybranych miast ocaleją. Jednym z nich była Klatova.

Dziś niczym nie różni się od innych, ładnych, czystych i powoli rozbudowujących się miast Zapadnoceskogo Kraju. Ma jednak atrakcję — katakumby. Znajdują się one pod jezuickim kościołem z XVII wieku. Chowano tu możnych tego miasta, a zmyślny system wentylacji hamował proces rozkładu ciała i tak powstały oryginalne mumie. Śpią snem wiecznym kobiety, starcy, ludzie, którzy kiedyś byli otyli, chromi i garbaci. Śpią w szklanych trumnach, a oczy ciekawych — jak też człowiek wygląda po śmierci — zakłócają ich wieczny sen.

Trafiliśmy na niewielką wycieczkę, która przyszła obejrzeć mumie. Uprzejma przewodniczka dowiedziawszy się, że jestem polskim dziennikarzem, a z językiem czeskim jakoś sobie radzę, zapewniła, że będzie mówić wolno, a później da prospekty.

W Klatovej, jak w Pilźnie, ratusz stoi w równym szeregu mieszczańskich domów. Zdobi go cudowny fronton, a na frontonie dwie czarne pamiątkowe tablice. Pierwsza z figurą radzieckiego żołnierza trzymającego miecz i dziecko informuje, że 9 maja 1945 roku Armia Czerwona wyzwoliła Czechosłowację. Obok druga jest dowodem pamięci poległych tu żołnierzy amerykańskich. Trzeba bowiem wiedzieć, że Zachodnie Czechy wyzwoliły wojska amerykańskie.

CZWARTEK: „Skoda" kojarzy się z samochodami. W Pilźnie są olbrzymie zakłady „Skody", ale tutaj nie produkuje się popularnych „1000 MB". Tutaj powstają turbiny, elektrowozy, trolejbusy, wały do silników okrętowych. Pilzneńskie turbiny pracują w Solinie, Stalowej Woli i Czechowicach. Części do silników okrętowych biorą stocznie w Gdyni i Gdańsku.

— W Karlovych Varach — opowiadał mi jeden z czeskich ekonomistów — jest huta szkła. Jej dyrekcja zgłosiła zapotrzebowanie na 700 ludzi. Komitet partyjny zaprosił socjologów. Ci zbadali wydajność pracy, zrobili „fotografię dnia roboczego" i stwierdzili, że przedsiębiorstwu potrzeba... 200 ludzi. Resztę można pokryć wydajnością pracy.

W „szkodowce" udało mi się widzieć w samo południe ludzi rozmawiających przy maszynie, wałęsających się po halach, obijających się. Proces konsolidacji rozgrywa się na dwu płaszczyznach — politycznej i ekonomicznej. W przemówieniach, w komunikatach i oświadczeniach pojawiają się słowa: spekulacja walka ze spekulacją, dyscyplina pracy, poszanowanie mienia społecznego. Federalne Ministerstwo Pracy i Spraw Społecznych przygotowało projekt nowelizacji kodeksu pracy, gdzie zaostrza się sankcje za naruszanie dyscypliny pracy i państwowej.

W Pradze powołano do życia Polską Sekcję Czechosłowackiej Izby Handlu Zagranicznego. Tworzy ją 49 central i zjednoczeń przemysłowych. W Warszawie przy PIHZ działa Sekcja Czechosłowacka, w skład której wchodzą 63 centrale i zjednoczenia. Jest to dobra prognoza dla dalszego rozwoju wymiany handlowej między obydwoma krajami, ale jedna i druga strona zdaje sobie coraz wyraźniej sprawę, że dalszy postęp gospodarczy będzie zależał od umiejętności wykorzystywania własnych zasobów ekonomicznych i sprawnie działającego międzynarodowego podziału pracy. Te coraz bardziej ugruntowujące się poglądy to jeden z konkretnych przejawów konsolidacji życia politycznego i gospodarczego w CSRS.

Życie nie jest tu łatwe. Spadła wartość korony, podwyższono ceny na niektóre artykuły, m. in. na buty i wyroby cukiernicze. Zdarzają się trudności z mięsem. Doraźnie przychodzi z pomocą Związek Radziecki. Podpisano już umowę handlową na przyszły rok. Wszyscy zdają sobie sprawę, że występujące trudności skutecznie rozwiązywać można będzie tylko przez wzrost gospodarności.

— Zwróciłeś uwagę, ilu ludzi chodzi przed południem po mieście? — zapytał Mira. — Przecież nie wszyscy pracują na drugą zmianę.

PIĄTEK: Otrzymałem zaproszenie na wieczór inaugurujący miesiąc przyjaźni czechosłowacko-radzieckiej. Jest to jednocześnie akademia z okazji 52 rocznicy Rewolucji Październikowej.

Olbrzymia sala z balkonem okalającym ją wokoło, z dwoma rzędami przykrytych obrusami stołów. Usiedliśmy przy jednym z nich. W środku parę rzędów krzeseł. Między nimi i między stołami uwijają się kelnerzy z tacami pełnymi kufli piwa, kawy i herbaty. Pijemy przednią pilzneńską „12" z browaru „Prazdrój" i słuchamy referatu pierwszego sekretarza KW KPCz — Ladislawa Kardy. Nie ma tu sztywnego nastroju, nikt nic nie celebruje. Po części oficjalnej występy orkiestry Centralnej Grupy Wojsk Radzieckich w CSRS. Przyjęcie serdeczne. Kiedy zespół żeński śpiewa czeską piosenkę sala ją podchwytuje i wszyscy śpiewają.

SOBOTA: Dzień wolny od pracy. Otwarte tylko restauracje, kioski, kina i teatry. W piątek wszędzie stały kolejki. Teraz pojąłem dlaczego. Po prostu ludzie przygotowywali się do dwu dni świąt.

Zmotoryzowani pojechali za miasto. Pogoda wspaniała. W Czechach bardzo popularne są „chaty" — nie mylić z naszym: „szkło, adapter i chata". Tutaj jest to coś pośredniego między rosyjską „daczą", a naszym domkiem campingowym. Czeska „chata" jest jednak solidna, przystosowana do pobytu zarówno w lecie, jak i w zimie. Zaopatrzona w urządzenia kuchenne, zbudowana solidnie, w górach, w pobliżu terenów narciarskich lub wody.

W kinach bogaty zestaw filmów. W „Edenie" (taśma 70 mm) czwarta część „Wojny i pokoju". W innym — które jeszcze przed kilku dniami nazywało się „Elektra", a teraz powróciło do poprzedniej nazwy: „Moskwa" — nowy film czechosłowacki „Adelajda". Dzieje miłości czeskiego oficera, który powrócił z wojny do Niemki, córki byłego właściciela pałacu, w którym oboje zamieszkali. Dzieje tragiczne — miłość bez przyszłości. Oboje popełniają samobójstwo.

---

mi, jadę przecież tranzytem. Mam zresztą znajomych w Rumunii, czekają na mnie, wiadomo, jak to jest...

Znów rzucił badawcze wejrzenie na mój skórzany neseser o wyraźnie zagranicznym kształcie.

— Pan w czym... jeśli można wiedzieć?

— Jak to w czym?

— No, w czym pan pracuje, w jakiej, że tak powiem branży?

Ugryzł się w język widząc mój wzrok i szybko dodał.

— Mniejsza z tym, sam lubię ludzi, którzy nie gadają za dużo.

W tym momencie do wagonu weszli rumuńscy celnicy i jak na komendę zatrzymali oko na damie w średnim wieku, która wracała z Sofii do Gdańska. — Proszę pokazać torebki — odezwali się. — Dama zaprotestowała. — Jakim prawem, jadę przez Rumunię tylko tranzytem, wcale nie wysiadam. — Zaraz jednak ucichła kiedy cicho przemówił młody człowiek z czarną teczką — Niech pani da spokój. Lepiej już z nimi nie zaczynać, bo z celnikiem nikt jeszcze nie wygrał, weźmie jeden z drugim na ząb i przenicuje...

— Zauważyłam, że zawsze kobiet się czepiają — powiedziała dama.

— Cóż dziwnego, kobiety naród handlowy — zachichotał człowiek z czarną teczką.

Dama zawtórowała śmiechem i jak tylko celnicy opuścili przedział, potoczyła się między nią i człowiekiem z teczką rozmowa o cłach, granicach, cenach i towarach. Rozmawiano żywo i fachowo. No więc, Bułgarię należy już raczej odpisać na straty. To już nie to co dawniej. Kraj cholernie podrożał. Trzeba by chyba czosnkiem handlować. To by się jeszcze opłacało, jako że kilogram suszonego czosnku kosztuje pół tora lewa, a w Polsce ponad 100 złotych. Ale czosnek wozić? Nie, nie wypada. Kożuszki to już historia. Można je mieć, no tak, ale za dolary, albo jak się ma w Sofii dobre chody. Niektórzy mają... dama jeszcze głośniej roześmiała się i zerknęła na swoje tobołki. Człowiek natomiast z czarną teczką, już nie wiem po raz który zawiesił wzrok w ponurej zadumie na mym neseserze. Nie jest tak źle, w Bułgarii też można wyjść na swoje, byle przywieźć dużo pluszu, koniecznie zielonego i niemieckie zegarki na buksach. Idą jak woda, a za metr byle jakiego pluszu też dostanie się te 7 lew, o co więc chodzi? Towar idzie od ręki i po świetnej cenie. A jeszcze waluty...

Zaczepiano mnie potem w Warnie wielokrotnie. Pytano o plusz i zegarki, wtykano marki zachodnioniemieckie. Aż wstyd było... Teraz siedzę w bukareszteńskiej poczekalni i zgrzytam zębami z wściekłości. Gdybym miał parę dolarów przy duszy to los inaczej by się ze mną obszedł. On, człowiek z czarną teczką, wyleguje się pewnie w cieplej poście li i śmieje się w kułak z durnych frajerów co nie znają życia... Wreszcie nadszedł ranek, siódma wybiła i przed punktem wymiany ustawiła się kolejka. Same Polki. Wszystkie obstawione walizkami. Zaraz też napadły na mnie. — A nie wie pan przypadkiem co można kupić w Bukareszcie?

Wyrwałem się na miasto z westchnieniem ulgi.

Na opis Bukaresztu silić się nie będę, bo choć Bukareszt na Paryż pozuje, to jednak nie jest nawet ćwierć Paryżem. Starczy wychylić się na przedmieścia, by przekonać się, ile ten kraj ma jeszcze do odrobienia.

Bukareszt tyle ma z Paryżem wspólnego, że chlubi się słusznie restauracjami. Są po parysku dobre. Jest ich dużo, są prawie puste i niewyobrażalnie tanie. Za trzydaniowy obiad z kotletem na cały talerz, wielkim półmiskiem jarzyn, z sokiem i setką „jamaica rom" na dodatek, zapłaciłem 23 leje, więc jakieś 37 złotych. W Łodzi za sam tylko rum więcej bym musiał wybulić.

Znów jestem w wagonie sypialnym „Wars" linii Bukareszt — Warszawa.

Przywitał mnie konduktor, który już przy odjeździe był pod dobrą datą. Prawdziwą klasę pokazał dopiero potem. Chlał od rana do nocy bez żadnej przerwy do samej Warszawy. Miał nawet zatarg z radzieckimi celnikami, bo tak zaczął bełkotać, że trudno było zrozumieć. Jak na szefa wagonu przystało, miał do swej dyspozycji wydzielony apartament z radiem, lodówką i kuchenką. W lodówce trzymał zakąski. Dla siebie. Popijał moskiewską „Stoliczną". Dla podróżnych nie miał nawet gorącej herbaty, bo brakło mu zwyczajnie sił i chęci, by wodę zagotować. Miał widocznie głowę do innych spraw. W międzynarodowych pociągach dzieją się rzeczy, które graniczą z kompromitacją narodowej godności. Bo w wagonie sypialnym, którym wyjeżdżałem z Warszawy do Warny, w połowie października, inny konduktor i szef wagonu też był bez przerwy zalany. Ledwo powłóczył nogami. A nosił mundur polskiego kolejarza, mundur, oczywiście, zmięty i poplamiony. Kto takich ludzi wysyła za granicę?

Pociąg wtoczył się na Dworzec Warszawa — Wschodnia z godzinnym opóźnieniem.

Dochodziła jedenasta. Wiedziałem, że ostatni pociąg do Łodzi już odszedł i przyjdzie mi czekać na Dworcu Centralnym do rana. Było zimno, wietrzno, na peronie żywego ducha. Przepraszam, na peronie stał on, człowiek z czarną teczką. Stał bez ruchu i spoglądał na mijające go wagony ironicznie się uśmiechając.

JANKA BRYL

skrzypce grają

JANKA BRYL — wybitny pisarz białoruski bawił w tym roku w Polsce jako członek delegacji pisarzy radzieckich na XXII Zjazd Pisarzy ZZiP w Gdańsku. Autor licznych poematów, opowiadań, nowel, reportaży i powieści, którego książki tłumaczono na kilkanaście języków — w tym i na polski. We wrześniu 1939 r., jako poborowy z rejonu Nowogródka walczył w polskiej piechocie morskiej koło Gdyni. Jesienią 1941 r. uciekł z niewoli niemieckiej i uczestniczył w białoruskim partyzanckim ruchu.

I jakże się tu nie dziwić radośnie, że wokół tyle piękna! Że mogłem przeżyć czterdzieści pięć lat nie widząc, na przykład, Jeziora Łukowskiego z wiekowymi dębami i szarymi krzyżami na długim, wąskim półwyspie, czy też potężnej a łagodnej rzeki Horyń?...

To piękno odkrywaliśmy najpierw przez okienka „kukuruźnika", którym, jako trzej „tropiciele słowa", lecieliśmy nad wysepkami pól i lasów, otoczonymi bagnami Pińszczyzny. Krótko trwał ten nasz lot. Wydawało się, że nasz „PO-2" ledwie się wzniósł — a już ląduje na polanie tuż przy lesie, jak rozkraczony ptak. Wydaje się, że nawet „nogi" nastawił na spotkanie z ziemią, niczym lądujący gawron. Siedliśmy. Upajamy się zapachem dojrzewających zbóż i kartofliska, zastygłego w gęstym, białym kwitnieniu. Tylko zboczyć z drogi i przytulić się do rozgrzanej ziemi!...

Miasteczko Dawidgródek.

Można by polecieć na Marsa, wrócić stamtąd — a zobaczyłoby się nad rzeką Horyń tę samą babcię z wędką. Stoi, stara, tak jak i stała setki lat spokojnie i obojętnie. Zarzuca po babsku wędkę, śmiesznie, przez głowę, spluwa na robaka, rzadko ściąga z haczyka do wiadra krasnopiórkę...

Wielu tu widać rybaków żeńskiego rodzaju, od pięciu aż do stu, i to nie dziwi tu nikogo.

Nad samą rzeką stoi jaśniejąca chata. W ogrodzie rosną wyłącznie kwiaty, które tu od dawna hoduje się na nasiona. Widać, że kwiaty się tu kocha — a nie tylko sprzedaje. „Brateczki" — mówi rozczulona kobieta, schylona nad sitem mikroskopijnych nasionek. Gospodarz, rozsądny, przyjemny chłop, wynajął nam chętnie motorówkę po przystępnej cenie i posłał z nami chłopca, dziewięcioklasistę do pomocy.

I tak oto oglądaliśmy Horyń a później Prypeć. Troszkę łowiliśmy ryby, zatrzymując się w uroczych zakątkach, ale bardziej zachwycała nas terkotliwa jazda po przezroczystej, cichej wodzie.

Wszystko tu cudowne, ale najpiękniejsze chyba białe, wodne lilie w Wilczym Jeziorze, w które wpłynęliśmy z czarnowodnej, spokojnej, ledwie że nie przepełnionej ponad miarę Prypeci. Tu na lilie wodne mówi się „gąski". Na szczelnej, zielonej pokrywie liści owych „gąsek" — po prostu duża, gęsia ferma — tyle, że bez gęgania. I my przepłynęliśmy tędy cichutko, przy wyłączonym motorze, na wiosłach, z wolna rozsuwając łódką ciągnący się, zielono-biały kożuch. Białe kwiaty lilii naniosły mi wspomnienia z dzieciństwa: rozkrojone jajka na twardo... Ale nie, tym razem „gąski" wyglądały jak drobne rączki z nastawionymi listkami palców... może z powodu myśli o dzieciach, o bombach, ciężkich myśli, którymi zakończył się mój wczorajszy dzień...

A w górze rozkoszne słońce i białe obłoki. Płyną wolno i właściwie nie płyną. Wysoko, wysoko!...

Później, już pod wieczór, kołysał nas po wybojach autobus. Jechaliśmy wzdłuż pól i obok chat pod bocianimi gniazdami i osłonecznionym lasem...

Duszą naszej jadącej kompanii była szczwana, jeszcze niestara Cyganka. Rozprawiała po białorusku o największym szczęściu ze swej wędrownej młodości — o tym, jak siedząc ze swym ojcem na wozie cygańskim, przejechała, wraz z całym taborem — Warszawę...

W ślad za wspomnieniami przeszła do teorii — zaczęła nam wyjaśniać powody cygańskiej skłonności do obozowania. Mówiła, raz po raz pokrzykiwała na Gierasima, swego bosego chłopczyka, który ciągle wyglądał przez szybę.

A potem w autobusie zaśpiewały skrzypce.

Grał stary Cygan. Bez czapki, łysy, w żołnierskich spodniach i wysokich, ciężkich butach. Dognaliśmy go przed jakąś wsią. Szofer sam zatrzymał się a „ojczulek" z miejsca, gdy tylko usadowił się na tylnym siedzeniu, zaczął grać. Niby za przejazd. I z przyzwyczajenia.

Skrzypce na zmianę śpiewały, płakały, śmiały się. I było w tym coś niezwykłego i wzruszającego, że tu właśnie, w głuchym poleskim lesie, na wyboistej, zakurzonej drodze!...

Ale oto jeden z nas pomylił się, popełnił fatalny błąd, nie wiedząc, jakie mogą być tego skutki — wyjął aparat i zrobił skrzypkowi zdjęcie. Jedno, później dla większej pewności, drugie. I wtedy skrzypce umilkły. Cygan i Cyganka zaczęli coś między sobą rozmawiać po swojemu, głośno i niezrozumiale. Potem stary włożył skrzypce do futerału, dźwignął worek i oglądając się na nas z zaniepokojeniem, podszedł do kierowcy i szturchnął go w ramię. Autobus zatrzymał się. Muzykant wysiadł i ruszył przed siebie, w las, oglądając się z niepokojem...

Cyganka powiedziała nam wtedy, że żonę tego Cygana rozstrzelali faszyści w czasie ostatniej wojny. On sam ukrył się z synkiem. Po wojnie malca wzięto do domu dziecka. A ojczulek chodzi po świecie. Nie tyle chodzi, co raczej ucieka przez osiemnaście lat, ucieka przed tymi, którzy zabili mu żonę — a jego tropią. Żeby go zabić. Teraz umyślił sobie, sądząc po aparacie fotograficznym, że my jesteśmy także z tych, co go tropią — i dlatego uciekł.

— Nieszczęśliwy człowiek — mówiła Cyganka. — Czy słyszeliście jak on gra?... A jak tańczy nasze cygańskie tańce!... Gierasim!... Gierasim, nie wychylaj się, urwisie, uczepi cię co za głowę i wyciągnie.

W lesie słońce i cień. Mały autobus skacze po korzeniach i wybojach.

A skrzypce śpiewają. Serdecznie i smutno. Niby wesoło — a tak tęskno..

Chociaż muzykant z workiem na plecach i z futerałem pod pachą idzie teraz gdzieś bardzo daleko, za nami.

Taki bezdomny w słonecznym świecie.

Spolszczył **J. M. Kononowicz**

ANNA WOŹNIEWSKA

★ ★ ★

Czy ogarnia nas zazdrość
w ogromnym ogrodzie ciszy —
im szumią grube łodygi chwastów
im pulsuje milczenie w zardzewiałych tabliczkach
nie nam
nie nam

Jadowitym słowem nikt ich nie dosięgnie
za daleko
za głęboko
żadna źrenica nie przeszyje złością
za daleko
za głęboko . . . . . .

Czy ogarnia nas smutek
w ogromnym ogrodzie ciszy —
im wiewiórki siedzą na dłoniach
im ciepły wiatr śpiewa pokrzywami
nie nam
nie nam

Ale wiatr nie osuszy im łez
za daleko
za głęboko
Ale czas nie pogubi ich tęsknot
za daleko
za głęboko . . . . . .

Podzielcie się z nami
podzielcie się —
szumem chwastów
rudymi wiewiórkami na dłoniach
sercem zardzewiałych tabliczek

Dajcie nam
dajcie nam trochę
melancholii zwiędłych kwiatów
promyków zaklętych w sztucznym lusterku
ciepła żwirowych ziarenek w alejkach

Zatrzymajcie sobie
nie dzielcie się z nami
samotnością
Nie chcemy jej — idziemy razem
jeszcze dziś razem
dwa żywe duchy splecione ramionami

Listy do redakcji

PANIE REDAKTORZE

W moich notatkach, z dziennika, zamieszczonych w 47 numerze „Odgłosów" pt. „O Ingardenie, snach i cybernetyce" pojawiły się drobne pomyłki, powodując jednak kilka zasadniczych błędów merytorycznych oraz stylistycznych, które zmieniły sens paru moich wypowiedzi.

W nocie pierwszej z datą „Październik 69" błędnie wydrukowane zdanie winno brzmieć: „Przyczyny, owszem, leżą w środowisku, ale i „w warunkach egzystencji, każdy zabiegany, i — w nas samych".

W nocie pierwszej z datą „Listopad 69" drugie zdanie w drugim akapicie winno brzmieć: „Przy takiej okazji zawsze pcha się natrętnie freudowska teoria Libido, tłumionych popędów i panerotyzmu podświadomości".

W tejże nocie winno być: C. G. Jung, bo Carl Gustav Jung, a nie G. G. Jung.

W nocie ostatniej jedno z końcowych zdań winno brzmieć: „Może więc, gdy nie przeciwdziała temu sztuka rozumnego myślenia, przydałoby im się jednak trochę „niemodnej, zmierzchającej" psychoanalizy".

Dziękuję uprzejmie za zamieszczenie powyższego.

Z poważaniem

WANDA KARCZEWSKA

HENRYK CZARNECKI

SPOTKANIE

W wakacje gdzieś mi się wyjechało. Pewnie daleko, bo nie pamiętam już dokąd. Skuterem. Przedstawiciel samochodowej oświaty nie powinien przecież jeździć pociągiem. Za powolne to. I kopci. I zatrzymuje się tam, gdzie mi nie potrzeba.

Tym razem skuter zatrzymał się też gdzie nie trzeba.

Gdy zabraknie benzyny — sprawa jest prosta. Pół biedy. Bo, gdy się naleje, można znów jechać. A drugie pół? — Gdy nie ma jej skąd nalać. Ale wtedy człowiekowi lżej: ma przynajmniej świadomość co się stało.

Gorzej, gdy się coś popsuje. Wtedy trzeba usiąść w rowie i pomyśleć. Bo reperować i tak nie warto. Pewnie to poważniejsze uszkodzenie. Lepiej nie próbować, żeby uniknąć rozczarowań. Mogłoby się bowiem okazać, że człowiek wie co się zepsuło. Ale nie potrafi tego zreperować. Albo potrafi, ale znów nie wie — co się zepsuło.

Wyjąłem narzędzia i na wszelki wypadek zreperowałem koło. Przednie. Wiele się nawet nie pomyliłem, bo rzeczywiście popsuło się koło. Tylne.

Trudno. Powiedziałem przecież, że od razu trzeba było usiąść w rowie i czekać.

— Dzień dobry, panie profesorze. Coś się zepsuło?

Spadł z nieba, bo z Łodzi zbyt daleko. Droga nietypowa: nikt tędy chyba nie jeździ. Dochodzi wieczór, jutro niedziela...

Ale przyjechał. Wszystko mi zresztą jedno skąd. Nazwiska nie pamiętam, twarzy też nie mogę sobie przypomnieć. Nic dziwnego: oni starzeją się przecież trzy razy szybciej niż my.

A może to nie on?

Skąd jednak by wiedział, że ja to ja?

— Kaszewski. Zdawałem u pana profesora maturę.

Wolałbym, żeby był jeszcze przed maturą, choć i maturzyści też ludzie. Nie zostawią profesora na szosie w nieszczęściu.

Czy jednak zdał?... Już go o to głośno nie pytałem. Żeby nie kusić zła. Różnie tam przecież w życiu bywało.

— Nie pamięta profesor? Takiego „balona" pan ze mnie wtedy odstawił, że ho! Cała komisja się śmiała.

Dobrze mi tak. Poczucie humoru wyjdzie mi zaraz nie tyle bokiem, co kołem. Tylnym. Że też nie mogli wymyślić skuterów bez tylnych kół...

Zjechał na bok szosy i postawił motor na nóżkach. Dobre i to. Będzie chociaż raźniej. Poczęstowałem go giewontem.

Może jednak lepiej maturę celebrować na smutno? Nawet, gdy się wtedy nie zda — mniej uczniowi przykro. Ale jak tu się nie śmiać, gdy facet nie tylko, że zapomniał własne nazwisko, ale i datę śmierci Mickiewicza myli, na przykład, z numerem kołnierzyka od koszuli.

Wyszczerzył zęby.

— Panu profesorowi też pomyliły się koła. W dodatku na hamulcu pan jechał i tawot się wytopił.

Z rozrzewnieniem wspomina maturę rozkręcając sprawnie właściwe koło. Przypomniałem już sobie. Chodziło o to nieszczęsne imię.

— Wie pan już teraz jak było na imię Oleńce Bilewiczównie?

— Zosia!.... Ale to nie ja powiedziałem tylko Janek Szymczak. Ja sypnąłem się na odrodzeniu. Pytał pan o aureole w malarstwie. Zamiast powiedzieć, że znali już perspektywę i dlatego malowali je w kształcie spłaszczonego nad głową koła — powiedziałem, że robili je takie, by lepiej przylegały do głowy. Jak czapki.

Pamięta wszystko. Nauczył się i zapamięta to lepiej niż gdyby to zrobił przed maturą. Ostatecznie komisja mało nie pospadała wtedy z krzeseł ze śmiechu. A taki fakt sprzyja utrwaleniu materiału na całe życie.

— W takim razie to nie ja zrobiłem z pana „balona", ale pan sam zamienił się w ten średniowieczny pojazd.

— A nie! Bo ja „rozmontowałem się" na dobre dopiero w „Moralności pani Dulskiej". To jedyna pozycja, której nie przeczytałem. Wierzy pan profesor?... Po co miałbym teraz bujać?... Całe życie jednak miałem pecha i musiałem akurat trafić na ten temat. Co ja za głupoty wtedy wygadywałem. A pan podpuszczał mnie jeszcze — zarechotał, jak zerwany łańcuch wkręcający się w koło.

— Było wtedy tak nudno. Dopiero pan wniósł tą „Moralnością" trochę odprężenia. Dyrektor aż się kawą oblał z uciechy. Pamięta pan?

Odkręcone i rozmontowane koło leżało już na szosie i matura toczyła się gładko. Żył wciąż tamtymi dniami, które nie roztapiają się w lipcowym upale. Pomnożonym przez ileś tam już lipców. I zim przetrząsających kieszenie pamięci. Wycierając czystą chusteczką umorusaną tawotem piastę koła cieszył się jak dawniej, gdy bamboszem wycierał tablicę, by profesor nie zauważył beznadziejnych błędów. Wypatrywał między jednym ruchem klucza a drugim swojej dziewczyny czekającej go niecierpliwie na wąskiej uliczce przed szkołą.

Zapadał mrok. Ale nie byliśmy już sami. Obok mnie w rowie, usiadł profesor od podwozi. Po drugiej stronie stołu zdaje Kaszewski z naprawy koła. Musi się śpieszyć, by w gęstniejącym mroku nie pogubić bolców i nakrętek.

— Z czego zrobione są drążki skrętne?

— ?

— Dębowe mogą być?

— Nie.

— A z sośniny?...

Wspomnienia, marzenia, szkoła wyrasta przy szosie, szosa podbiega do szkoły. Wieczór jest ciepły. Szkoda, że trwa tak krótko.

— No to „grzejem" panie profesorze. Skuter gotowy. Niech pan tylko znów nie podkręca zbyt mocno hamulca.

— „Grzejem", panie Kaszewski. A jak pana syn będzie kiedy zdawał u nas maturę, to niech mu pan jednak każe przeczytać tę „Moralność". Całkiem dobra sztuka.

Poczęstował mnie sportem. Chciał pewnie jeszcze trochę posiedzieć w szkole.

— A żeby pan wiedział, że przeczytałem. Zaraz po maturze. Nie wierzy pan?... Na dobrą sprawę mógł mnie pan przecież wtedy oblać. Najpierw te aureole, potem... Pamięta pan profesor Kozłowskiego!?

Kaszewski, Szymczak, Kozłowski... Ktoś zapalił światło. Otworzyłem dziennik. Wiele nazwisk już nieczytelnych, ale... Za oknem deszcz ze śniegiem, wiatr. W klasie jednak przytulnie. Czyżby od kaloryferów, które dobrze grzeją?

Minął nas samochód. Gasną szybko uciekające na szosie czerwone światełka. Ale utrwalony przez chwilę obraz klasy nie da się łatwo wymazać z pamięci. Lekcje trwają dalej.

— Panie Kaszewski...

— Chce mnie pan profesor zapytać?... Na próbę. Z tej „Moralności". Bo innych rzeczy mogę już nie pamiętać. To już przecież tyle czasu...

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

NIEPOKÓJ o człowieka

Janusz Koniusz jest jednym z ciekawszych autorów zielonogórskiego środowiska literackiego. Rozpoczął od poezji: w 1958 roku opublikował arkusz poetycki: „Tempo krążenia", trzy lata później wydał tomik wierszy „Ślad przelotu". Zaangażowany w działalność społeczną (pełni aktualnie funkcję sekretarza Lubuskiego Towarzystwa Kultury) zajmuje się także publicystyką związaną tematycznie z historią i kulturą Ziemi Lubuskiej. Jako prozaik zadebiutował Koniusz w 1964 roku zbiorem opowiadań „Wakacje z Julią". Dostrzegając całą złożoność ludzkiego życia, różnorodność jego przejawów, starał się pisarz uchwycić istotę, sens naszej egzystencji.

Osiem opowiadań, które złożyły się na tomik „Dialog w domu"*), podejmuje i pogłębia problematykę pierwszego zbioru. Podstawowy w prozatorskiej twórczości Koniusza problem określić można jako niepokój moralny, niepokój płynący z poszukiwań i zastanowień człowieka myślącego. Źródła owego niepokoju są różne. Najważniejszym jest chyba trudność zdefiniowania współczesnego człowieka: „Jacy właściwie jesteśmy? Żyjemy w stadach i cóż wiemy o sobie? Ile pozostało w nas na zawsze nie ujawnionego. Mówimy najczęściej nie to, co chcemy, tylko co wypada powiedzieć. Za daleko odszedł człowiek od człowieka, żeby mogli się zrozumieć. Przyjdzie nam zacząć na migi, abyśmy mogli powrócić do słowa".

Potrzeba określenia człowieka współczesnego wywołuje refleksję nad dziejami ludzkości, co ma być punktem wyjścia do zastanowienia się nad teraźniejszością. Taką refleksją jest opowiadanie pt.: „Zmartwychwstanie". W biblijne postaci apostołów Andrzeja, Pawła i Tomasza wkłada autor wszystkie doświadczenia, jakie w ciągu swego rozwoju zdobyła ludzkość. Głoszone przez Chrystusa ideały, oglądane z pozycji dnia dzisiejszego przez pryzmat dziejów, okazują się w dalszym ciągu tylko ideałami niemożliwymi do zrealizowania. Teza ta została zresztą sformułowana expressis verbis w innym opowiadaniu: „Człowiek się nie zmienił od starożytności".

Narrator opowiadań to w gruncie rzeczy ten sam człowiek — zmieniają się tylko realia. Jest to, by odwołać się do modnego nie tak dawno określenia — „szary człowiek", jeden z wielu. Orientuje się on, że wszystkie ważne sprawy dzieją się poza nim, że nie posiada żadnego wpływu na zasadnicze decyzje, co najwyżej dowiaduje się o nich z prasy, sam o sobie może decydować jedynie w bardzo nielicznych sytuacjach. To także przyczyna niepokoju. Traktuje o niej nagrodzone I nagrodą w Konkursie Literackim „Nadodrza" z 1967 roku opowiadanie „Urlop".

Niepokój pisarza nabiera bardzo konkretnych wymiarów, gdy mowa o sprawach związanych z drugą wojną światową. Nie znalazły one właściwie miejsca w pierwszym zbiorze, były ledwie dostrzegalne, stanowiły tylko echo dziecięcej pamięci o Oświęcimiu.

Opowiadanie „Nikt nie wyrywa trawy" (pod tytułem „Wycieczka" drukowane w „Życiu Literackim" 1967 r. nr 3) jest pierwszą w twórczości Koniusza próbą rozrachunku z wojną. Obok pewnej popularności w kraju, zyskało ono uznanie poza granicami Polski, przetłumaczono je na języki: niemiecki, czeski i rosyjski. Realizuje motyw wycieczki do obozu koncentracyjnego ludzi, którzy „czasy pogardy" znają jedynie z opowieści starszych, z podręczników szkolnych, z literatury czy filmu. Do interesujących wniosków może doprowadzić porównanie tego opowiadania z innymi: Tadeusza Różewicza „Wycieczką do muzeum" i Andrzeja Brychta „Wycieczką: Auschwitz - Birkenau". Trzy te utwory są sui generis kontynuacją literatury obozowej, nasilenie której w literaturze polskiej przypadło na lata 1945—1948.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że jest Koniusz rówieśnikiem pokolenia „Współczesności" (urodzony w 1934 roku) i z tego też punktu widzenia spojrzeć na jego opowiadanie. Bohaterem jest najmłodszy uczestnik zbiorowej wycieczki do Buchenwaldu, właśnie rówieśnik pokolenia „Współczesności". Na to co widzi oraz na słowa przewodnika reaguje ostro, w reakcjach swych jest jednak odosobniony. Początkowo na jego zaczepki nikt z grupy nie zwraca uwagi, gdy się zaś powtarzają, starsi wycieczkowicze usiłują uspokoić młodszego kolegę, nie chcą incydentów, są bowiem bardziej zainteresowani zakupami aniżeli konfrontacją teraźniejszości z przeżyciami wojennymi.

Obojętności starszych przeciwstawia bohater swą moralną czujność. To on zastanawia się, czy „gdyby do czegoś doszło" Niemcy strzelaliby do nas? I w odpowiedzi zachowuje dużo sceptycyzmu, jest przecież przekonany, że ludzie nie zmieniają się ani prędko, ani łatwo. Niepokój i sceptycyzm ów spotyka się z pewną obojętnością, może nawet niezrozumieniem ze strony starszych. Argumentują: — „Co pan może o ludziach powiedzieć? Pan, za przeproszeniem, szczeniak. Pan ich nie zna". W ten sposób pisarz kompromituje pokolenia starsze, wytyka im zbyt dokładne zabliźnienie ran, brak czujności.

Oba tomiki potraktować można jako „próbę sił" poety w twórczości prozatorskiej. W opowiadaniach są zresztą widoczne ślady poetyckiego startu Koniusza: metaforyzowanie, liryzm. Próba ta wypadła pomyślnie. Ambitna problematyka podejmowana w opowiadaniach nie może jednak zostać rozwiązana przy pomocy tego tylko gatunku literackiego. Stąd też postulat pod adresem autora: czas, by skorzystać z możliwości, jakie stwarza powieść.

*) J. Koniusz, Dialog w domu, Wydawnictwo Poznańskie, 1969.

Fot. A. Wach

Półka z książkami

„WYROK ŚMIERCI"

Nowa książka Louisa Aragona jest inna niż te, które napisał dotychczas. „Wyrok śmierci" należy do tego gatunku literackiego, gdzie wątki epickie zostały przemieszane z partiami czysto lirycznymi oraz z filozoficznymi rozważaniami. Ktoś powie dział, że to „długi, wstrząsający miłosny list do kobiety jego życia — Elzy Fougere - Ingeborgi d'Usher" i zapewne miał rację.

Nie jest to wszakże książka łatwa, książka do poduszki, bowiem w tej autobiografii Aragona zbliżonej do fantastyki, wykraczającej dalej niż określa to rzeczywistość, jest zawarte doświadczenie autora jako komunisty, poety, polityka i człowieka przeżywającego rzeczy proste i zdarzenia wielkie z równą wrażliwością, z jednakowym zaangażowaniem humanisty.

Nie należy przy tym za pominać, że Aragon jest realistą. Nawet w tak eksperymentalnym utworze, jakim jest „Wyrok śmierci" odnajdujemy świat wstrząsających zdarzeń (gwałtowna śmierć Gorkiego, jego pogrzeb w asyście tajniaków czy może prowokatorów, ulice Moskwy z okresu wielkich procesów, zdarzenia z obu wojen światowych itp.).

W sumie jest to trudna, lecz bardzo ciekawa pozycja, która zainteresuje miłośników dobrej książki.

Louis Aragon: „Wyrok śmierci". PIW. 1969 r. Str. 460. Cena 32 zł.

CONRAD W OCZACH SYNA

Nie tak dawno gościł w Polsce najstarszy syn Józefa Conrada, Borys. W czasie tej krótkiej wizyty podpisał umowę z Państwowym Instytutem Wydawniczym na polskie wydanie swej „Kroniki rodzinnej".

Niewielka ta książeczka, w przekładzie Ireny Tarłowskiej, stanowi dodatkowe źródło wiedzy o pisarzu.

Borys Conrad nie stara się swemu pamiętnikowi nadać cech drobiazgowej kroniki jak nie usiłuje gloryfikować postaci ojca. Jest wszakże w tej książce przedstawiona osobowość Josefa Conrada jako coś, co nadawało otoczeniu swoisty klimat, miało zdecydowany i ostateczny wpływ na życie ludzi, z którymi się spotykał. Jest w tej książce Conrad człowiekiem schorowanym, cierpiącym, uwikłanym w codzienne troski i niepowodzenia, pełnym tkliwości i troski o najbliższych, o dom, o daleką Polskę.

E. I.

Borys Conrad: „Kronika rodzinna". PIW. 1969 r. Stron 136. Cena 20 zł.

Przeszłość i teraźniejszość

KSIĄŻKA O DZIEJACH NASZYCH SĄSIADÓW

Rzut oka na zainteresowania dziejopisów naszych w ostatnich stu pięćdziesięciu latach prowadzić musi do zaskakującego wniosku. Prawda to, że historiografia odegrała u nas olbrzymią rolę w okresie zaborów, pomagając przetrwać i zgromadzić nowe siły dla wydźwignięcia się z upadku. Zaprzeczać tego nie sposób. Ale jest jedno ale. Koncentrując uwagę na zagadnieniach wewnętrznych historiografia polska z rzadka tylko wykraczała poza polskie opłotki. Nie chodzi mi rzecz jasna o prace analityczne, różne przyczynki i tym podobne hermetyczne publikacje przeznaczone dla zawodowych najczęściej historyków. Myślę o opracowaniach syntetycznych o dziejach naszych sąsiadów w ogóle, zaś Niemiec w szczególności. Jakie to wnioski nasuwają się każdemu, kto przeglądnie pod tym kątem nasze historyczne bibliografie? No, że jest wprawdzie sporo rozpraw o polityce tego czy innego cesarza lub króla, związkach kulturalnych czy ekonomicznych z jednymi bądź drugimi ośrodkami niemieckimi, ale najmniej znajdziesz... syntetycznych opracowań historii Niemiec. Już łatwiej odnaleźć coś takiego z historii Francji, by nie mówić o papiestwie. W Galicji ukazało się wprawdzie po polsku parę podręczników szkolnych obejmujących przede wszystkim dzieje C. K. Monarchii Franciszka Józefa — chwalebnych i panegirycznych, jak na tego rodzaju publikacje przystało. Polacy raczej stronili od tych książek. W czasach zaborów skoro nie bardzo można było pisać o dziejach Niemiec uczciwie, polski historyk uciekał na inne pole. W okresie międzywojennym zaś było tyle spraw do odrobienia i nadrobienia, że znów nie powstało żadne opracowanie syntetyczne o przeszłości tego kraju. Dopiero po ostatniej wojnie coś się zmieniło — ale czy wiele?

Zmieniło się na pewno wiele, tylko nie stało się to od razu. Bezpośrednio po wojnie z inicjatywy założyciela i pierwszego dyrektora Instytutu Zachodniego Zygmunta Wojciechowskiego powstały dwie syntetyczne książki: „Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej" w opracowaniu nestora polskich mediewistów Kazimierza Tymienieckiego (1948) i zarys historii Niemiec w czasach nowożytnych (do 1939 roku) pióra Janusza Pajewskiego (1947). Potem trzeba było odczekać kilka lat, zanim poczęły się pojawiać dalsze tomy z tej pięknie zainicjowanej wówczas serii niemcoznawczych wydawnictw Instytutu Zachodniego. Dziś liczy ona już z tuzin sporych tomów, ogarniających problematykę dziejów nowożytnych i najnowszych Niemiec ze szczególnym uwzględnieniem stosunków polsko-niemieckich w niedawnej przeszłości. Wnikliwe opracowanie tego kapitalnego nie tylko dla pogłębienia wiedzy o przeszłości, lecz zrozumienia wielu problemów teraźniejszości problemu zawdzięczamy dwóm historykom młodszego pokolenia: Jerzemu Krasuskiemu i Marianowi Wojciechowskiemu. Pierwszy z nich wydał w latach 1962 i 1964 dwa tomy o stosunkach polsko-niemieckich w latach 1919—1925 i 1926—1932, drugi zaś opracował wnikliwie polityczne stosunki między Polską a Rzeszą w latach 1933—1938 (1965).

W dorobku Jerzego Krasuskiego znajdujemy także szereg innych książek dotyczących dziejów Niemiec w XIX i XX wieku. Przed laty ukazała się jego książka o tzw. „Kulturkampfie" (1963), zbiór esejów „Z dziejów niemieckiej myśli politycznej XIX i XX wieku" (1965), ostatnio zaś na półkach księgarskich pojawiła się pięknie wydana przez „Wydawnictwo Poznańskie" tego samego autora „Historia Rzeszy Niemieckiej 1871—1945" (Poznań 1969). Na tę właśnie książkę pragnę zwrócić szczególną uwagę.

„Ogromne i wszechstronne zainteresowanie społeczeństwa polskiego problematyką niemiecką, wynikające zarówno z zagrożenia ze strony rewizjonizmu zachodnioniemieckiego, jak z pogłębiającej się przyjaźni z Niemiecką Republiką Demokratyczną, uzasadnia potrzebę syntetycznego opracowania dziejów Rzeszy Niemieckiej" — powiada na wstępie autor. Tak sformułowany cel książki warunkuje sposób jej ujęcia. Nie jest ona — na szczęście — solenną ultrauczoną kolubryną, z tysiącami przypisków i notek, hermetyczną i „scjentyficzną" cegłą. Przeznaczona dla szerokiego kręgu czytelników nie zawiera anegdot i nie zawsze prawdziwych przypowieści, którymi tak często garnirują swe utwory najróżniejsi „popularyzatorzy", traktuje po prostu o politycznych dziejach Niemiec. „Jest to historia polityczna społeczeństwa niemieckiego. Dziejom militarnym i polityce zagranicznej poświęcono miejsca mniej niż to się dzieje zwykle" — powiada Jerzy Krasuski.

Jest to na pewno książka tradycjonalna w sposobie widzenia opisywanego problemu. To prawda. Autora nie skusiły perspektywy nowoczesnej historii społecznej, integralnej, nie pretenduje on do żadnego nowatorstwa metodologicznego. On po prostu opowiada, tak jak to robili inni, dawni historycy, wyjaśnia relacjonując — i nic więcej. Zbyt dobrze rozumie, że nim zdołamy napisać na ten sam temat historię bardziej wszechogarniającą, rzeczywiście całościową, winniśmy wykonać jeszcze ogromną pracę. A tymczasem czytelnikowi należy się dobra, rzetelna informacja o nie tak całkiem przecież odległej przeszłości nie zawsze najlepszego naszego sąsiada. I dlatego powstała ta książka. I dlatego ludzie będą ją czytać. Zaglądnie do niej każdy, komu sprawy te są bliskie — a tych pośród nas jest wielu.

JÓZEF GRZELAK

ANTONI SZRAM

LUDZIE XXV-lecia

Andrzej Wróblewski

Andrzej Wróblewski — Autoportret

1.

Umarł z wycieńczenia, zabłądził, wędrując samotnie przez Tatry 23 marca 1957 r. Strata Andrzeja Wróblewskiego jest stratą na miarę Strzemińskiego.

Od takiego przypomnienia rozpoczynam, aby od razu nastroić czytelnika na ton najwyższy, gdy będzie kiedyś analizował dorobek artystyczny zaledwie trzydziestoletniego malarza i historyka sztuki. W biografii jego zawarte są składniki, które naszą ocenę i te słowa pozwalają podeprzeć oraz sprawdzić, życiorys miał typowy dla swego pokolenia — podobna ideologia stoi u podłoża filmów Munka, Kawalerowicza, Wajdy, prozy Borowskiego, wierszy Różewicza, malarstwa Cwenarskiego — wraz z nimi jest przedstawicielem „pokolenia tragicznych".

2.

Urodził się 15 czerwca 1927 r. w Wilnie. Był synem profesora Uniwersytetu Wileńskiego i Krystyny Wróblewskiej, znanej graficzki, uczennicy Ślendzińskiego; była osobą uzdolnioną artystycznie, jej zainteresowania szły przede wszystkim w kierunku uwrażliwienia syna na piękno — wcześnie rozeznała się w tym talencie: 1945 — przyjazd do Krakowa, świadectwo dojrzałości; 1945—48 — studia na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyplom magistra; 1945—52 — studia na Wydziale Malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (pracownie prof. prof. Radnickiego, Pronaszki, Rudzkiej-Cybisowej i Fedkowicza) i dyplom; 1949 — początek intensywnego udziału w życiu społecznym i artystycznym — czuwała nad nim mądrze i w sposób wymagający, gdy talent ten stał się samodzielny.

3.

Geneza jego sztuki, stawiającej sobie za cel rzeczywiste poznanie świata, była ściśle związana ze zmianami społecznymi, a co za tym idzie — ze zmianami filozofii i ideologii: jedyne źródło siły człowieka, jego zdolności trwania i bytowania. Bez mała dwadzieścia pięć lat temu w Łodzi działał Strzemiński — skupia grupy młodych z Andrzejem Strumiłło, Konradem Nałęckim i Andrzejem Wajdą — mają do wyboru niewiele stylów; wówczas w środowisku łódzkim dominuje abstrakcja geometryczna, która łączy się z koncepcją Strzemińskiego stanowiącą kontynuację osiągnięć lewicowej awangardy okresu międzywojennego, a szczególnie tradycji ugrupowania „a. r." — bardzo szybko odwraca się od profesora, który niedawno uchodził za wielkie objawienie, generacja „pokolenia tragicznych"; zrywają ze Strzemińskim: Strumiłło, Nałęcki i Wajda, przenoszą się do ASP w Krakowie. Tutaj, na Akademii, w czterdziestym ósmym formują tzw. „Zespół Samokształceniowy" w ramach Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej. — W tezach zawierają wyraz protestu przeciwko metodom nauczania stosowanym przez profesorów, przeciwko krakowskim postimpresjonistom.

Grupa rozrasta się o dalsze nazwiska: Damasiewicz, Gąsiorowski, Węgorek, Artymowski, Brykalski, Bunsch, Klimek oraz Andrzej Wróblewski.

4.

Rok czterdziesty dziewiąty obfituje w brzemienne wydarzenia; coraz częściej sięgano po modele pochodzące z nizin społecznych; mówi się o „kulturze narodowej w formie i socjalistycznej w treści".

Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje w lutym tego roku naradę w Nieborowie w celu dokonania poprawy „warsztatu" artysty — po raz ostatni mają możność wypowiedzieć się młodzi artyści z Krakowa (spontaniczne wypowiedzi, ataki Kantora, Jaremianki i Dłubaka nie pomagają jednak czynnikom oficjalnym w zrozumieniu znaczenia aktu twórczego, znaczenia poszukiwań sztuki nowoczesnej).

5.

Zespół samokształceniowy wystąpił ze swymi pracami w Poznaniu. Wystawców nazwano „neobarbarzyńcami", wyrazistą czytelność ich obrazów zganiono w oficjalnych przemówieniach, przypinając etykietę „naturalistów". Nie zbierają uznania ani u współczesnych postimpresjonistów (przecież przeciwko nim był ten bunt skierowany. Pisze m. in. Andrzej Wróblewski: „Pierwszym założeniem Koła Samokształceniowego ZAMP było przeciwstawienie się postimpresjonizmowi. Martwe natury, które kazano nam malować były nie studiami lecz wyjaławianiem studiów"), ani u nowoczesnych spod znaku Kantora (odżegnywali się od „neobarbarzyńców", po prostu nazywając ich „socrealistami"). Wrogość była obopólna, niezrozumienie intencji twórców — powszechne.

Andrzej Wróblewski pokazał obrazy cyklu „Rozstrzelanie" — który dziś może razić zwolenników wstrzemięźliwej formy i dystansu intelektualnego, pobudzać do podejrzeń o chęć epatowania rozpasaną wiwisekcją szeregu studiów unicestwienia człowieka (pokazał się symultanicznie), czy pozornym efekciarstwem ekspresjonistycznych lub naturalistycznych chwytów malarskich. Zwiększenie efektu uwidacznia traktowanie człowieka jako rekwizytu (tu: typy-maski) rozpadającego się na oczach widza; ten punkt widzenia oprawcy, lekceważącego istotę człowieczeństwa kontrastuje w obrazie „Rozstrzelanie V" z wprowadzoną tu postacią rozebranego chłopca — prawdopodobnie to sam artysta — jego obecność jest zamanifestowaniem protestu. Forma obrazu jest takim właśnie „przerysowanym" portretem ludzi osaczonych, zaprzeczeniem „ładności", jak wiersze Różewicza, jak wspomnienia obozowe Borowskiego. Zdecydowany, silny koloryt i proste określenie form, polegające na obmyśleniu kompozycji „filmowo" (tworzenie cykli), uwypuklają wymowę dzieła.

Reprezentowany przez Wróblewskiego i jego rówieśników kierunek, motywy i pierwowzory można więc dzisiaj łatwiej przyjmować — bez estetycznych oporów — z drugiej ręki dzisiejszego figuratyzmu: „malarstwo przedmiotów pospolitych" (ok. 1960 r.), „popular art (1963), „pop art" (ok. 1964), „cop-art" (1966). Najświeższe przykłady twórczości Rauschenbergera, Oliviera, Appela i Lichtensteina i wielu, wielu innych (na polskim gruncie grupy „Wprost"), osiągnęły w sztuce światowej należną im pozycję.

6.

Nie ulega wątpliwości, że gleba artystycznych aspiracji „Zespołu Samokształceniowego" zrodziła „Popiół i diament" Wajdy, bez tamtych doświadczeń nie byłoby dwóch kluczowych ogniw „polskiej szkoły filmowej" — symboliki i ekspresji. Andrzej Strumiłło również podjął tę tradycję, tworząc chyba jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci, aktywnie włączając się w nurt realizmu socjalistycznego, próbuje histerycznie znaleźć ekwiwalenty dla obumierającego artystycznie kierunku; w poszukiwaniu środków wyrazu ujawnia prawdziwy talent, posiada godne przykłady kreacji plastycznej w swoim dorobku. Andrzej Wróblewski w końcu, po ciężkim okresie zmagań i walki o poprawność formalną, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych stanie się artystą najszczerzej i najgłębiej zaangażowanym; malarzem o niezwykłej indywidualności twórczej nie mającej odpowiedników we współczesnej sztuce europejskiej. Akceptuje teorię, realizmu socjalistycznego — jako ogólny postulat zaangażowania artysty — odrzucając jej krępujące sformułowania szczegółowe, oficjalność.

Droga, jaką przeszli „neobarbarzyńcy" stawiała ich wielokrotnie w sytuacjach konfliktowych; wiedza młodych ludzi nie była czymś oderwanym od ich działania i wartościowania, ich sztuka — klimat twórczości silnej, brutalnej, pełnej pasji — w przeciwieństwie do niemieckich ekspresjonistów czy francuskich surrealistów nie była odskocznią od rzeczywistości; była z nią zespolona.

7.

Andrzej Wróblewski odbywa podróże artystyczne do Holandii, Jugosławii, interesuje się współczesną sztuką, publikuje eseje na ten temat w „Przeglądzie Artystycznym"; łączy ze swym pisarstwem, krytyką artystyczną, wszelkie nadzieje dotarcia poprzez prasę codzienną i prowincjonalną („Trybuna Ludu", „Gazeta Krakowska", „Echo Tygodnia", „Dziennik Literacki", „Od A do Z") do masowego czytelnika, do odbiorcy. Wróblewski podkreślał, że jako artysta „pokolenia tragicznych" musi wypowiadać się o materialności człowieka, o biologiczności jego istnienia. Stojąc wobec niemożności pełnego zarejestrowania ucieka się do środków artystycznych pozornie odległych od realizmu, niedoskonałość postrzegania uzupełnia często metaforą, symbolem i umownością koloru (bladoniebieski, zimny, wszech zagrażająca czerwień), wprowadzając pierwiastki surrealistyczne między tym co istnieje, a tym co można utrwalić. W konsekwencji w tym co przeżył, co napisał, co namalował umiał ucieleśnić wielką tragedię naszych czasów — klęskę indywidualistów — zbyt mądrych, żeby zgodzić się na afirmację przeszłości: „Ryby bez głów", „Szofer niebieski", cykl „Rozstrzelanie", „Zabity mąż" i zbyt słabych, żeby zdobyć się na uznanie tego co nadchodzi: „Plaża", „Dążenie do doskonałości", „Tramwaje", „Szofer", „Kolejka trwa"; cykle „Ukrzesłowienie" i „Zampano", „Kitek pod krzesłem", „Głowa z literami", „Cień Hiroszimy", „Nagrobki".

8.

„Arsenał" (ogólnopolska wystawa z r. 1955) ostatecznie pogrzebał socrealizm w sztuce polskiej: Wróblewski po kilku nieudanych próbach włącza się dalej w nurt rzeczywistości, a to ma zrozumiałe implikacje: zaangażowanie jakże często bywa odmienne. Ale jest to skutkiem przesadnego akcentowania pesymizmu, „okazjonalności" poszczególnych kampanii artystycznych, którym towarzyszyły ogólnokrajowe dyskusje twórców, teoretyków i historyków sztuki.

9.

Największą wartością malarstwa Andrzeja Wróblewskiego jest głęboka treść pokazana w jednym znaku, symbolu, geście, kontynuacja myśli, która tłumaczy sens kreowania wielkich serii obrazów o zbliżonej tematyce i formie; jest to próba swoistej rehabilitacji człowieka, którym zajmował się wyłącznie — konsekwentnie i do końca przeprowadził jego ironiczną kompromitację (problem „uprzedmiotowienia"), w tak jednoznaczny sposób w pracach należących do serii „Rozstrzelań", „Ukrzesłowień", „Nagrobków", „Zampano", „W kolejkach przed sklepem", w „Kolejkach ludzi siedzących", wreszcie w „Głowach" i „Czaszkach". W obliczu prawdziwej rewolucji artystycznej jeszcze raz, tak samo jak w finale „Arsenału", Wróblewski odwołuje się do ludzkiej interwencji. Boi się strachem teoretyka sztuki zaplątanego w teorię, realizmu socjalistycznego i cieszy się zadowoleniem proroka, którego przepowiednie się sprawdzają.

Wróblewski jest samotnym bohaterem z własnej sztuki. Przyszło mu żyć, malować, pisać rozprawy, recenzje i ciągle czekać na to, co nie nadeszło już za jego krótkiego życia.

ROMUALD KOWALSKI

Szlakiem katastrof

„Dziś w godzinach porannych na szlaku kolejowym Kutno—Warszawa nastąpiło czołowe zderzenie pociągu ekspresowego „Lech" z pociągiem ekspresowym „Warta"...

Katastrofy... Suche, lakoniczne notatki prasowe podają liczbę zabitych i rannych, przypuszczalne straty, sławią ofiarność ratowników, informują, że przyczyny wypadku bada specjalna kolejowa komisja. Stosunkowo rzadko wraca się jednak do gruntowniejszej analizy tych katastrof. Ludzie szybko zapominają co zdarzyło się miesiąc temu, tym bardziej, że bieżące rubryki wypadków w dziennikach rzadko są puste.

Coraz częściej trafia do tych rubryk kolej, powszechnie uważana za jeden z bezpieczniejszych środków komunikacji. Wielu jest jeszcze ludzi, którzy za nic nie wsiądą do samolotu lub autobusu, ale w pociągu rzadko już czynią znak krzyża.

Mimo wszystko trzeba ten temat podjąć, bo katastrofy pociągów pasażerskich zdarzają się u nas coraz częściej. Nie rozwodząc się na temat tak znanych katastrof, jak pod Moszczenicą, między Żychlinem a Jackowicami (rozbicie cystern, ale ze skutkami dla ludzi), czy niedawną ekspresów „Lech" i „Warta" pod Kutnem, można na poparcie tego twierdzenia przytoczyć serię wypadków z trzech kolejnych dni sierpnia br.: 18.VIII. na szlaku Choczewo—Garczegorze (okręg gdański) zderzyła się drezyna kolejowa z pociągiem roboczym (dwoje ludzi zmarło); 19.VIII. na szlaku Pasym—Grom nastąpiło czołowe zderzenie pociągu pasażerskiego relacji Warszawa—Ełk z pociągiem pasażerskim Suwałki—Olsztyn (12 rannych), a 20.VIII. na szlaku Wężyska—Wałowice (okręg poznański) czołowe zderzenie pociągu pasażerskiego relacji Poznań—Gubin z pociągiem towarowym (śmierć poniosły cztery osoby a 26 rannych). Podobne przykłady można by mnożyć. Lecz nie o wyliczanie nam tu chodzi.

Pomijając takie aspekty kolejowych katastrof, jak straty wynikające z rozbitych lokomotyw i wagonów, zniszczonych torów, przewodów trakcyjnych czy z perturbacji w ruchu pozostałych pociągów, zastanówmy się nad społecznymi skutkami katastrof, przyczynami i możliwościami zapobiegania im w przyszłości.

Oczywistym wydawać się może stwierdzenie, że winnymi kolejowych katastrof są przede wszystkim kolejarze, ich lekkomyślność, słaba dyscyplina, niedbalstwo. No bo jeśli następują liczne czołowe zderzenia pociągów wpuszczanych z przeciwległych kierunków na ten sam tor...

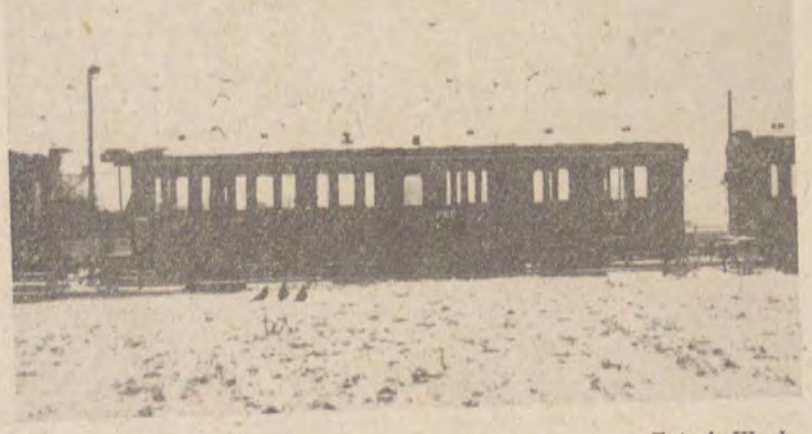

Fot. A. Wach

Oczywistość tego stwierdzenia blednie nieco w obliczu niezbitego faktu, że niemal w każdej katastrofie giną głównie pracownicy PKP, nie pretendujący chyba do roli dobrowolnych ofiar. Oni są na przodzie pociągu, wiedzą przecież, że przednia część elektrowozu czy motowozu nie zabezpiecza przed zgnieceniem, że kocioł parowozowy przy zderzeniu wybucha, że szybkość następujących po sobie zdarzeń i konieczność hamowania rozpędzonego składu uniemożliwiają opuszczenie posterunku w kabinie maszynisty. Wiedzą, że wystarczy, aby setka kolejarzy pracowała bezbłędnie a tylko jeden zaspał, poczuł się źle, zaniedbał obowiązki...

Zdarzył się niegdyś na przejeździe pod Częstochową typowy wypadek. Dróżnik przejazdowy opuścił na kilka minut swój posterunek (podobno miał boleści — zdarza się) i zostawił otwarte zapory. Na szyny wjechała ciężarówka. Zza zakrętu wyskoczył pociąg i z ciężarówki została sterta żelastwa, rozrzuconego po torach. Zginął szofer i jego pomocnik. Obsługa pociągu się uratowała. Oprócz dróżnika oskarżony był maszynista pociągu który podobno za słabo hamował.

Pojechałem do domu maszynisty. Ciasny pokoik czynszowej kamieniczki w Łodzi zagęszczony do ostatnich granic. Po wyjaśnieniu celu mej wizyty — konsternacja. Okazuje się, że nikt z rodziny maszynisty nie wiedział o jego wypadku sprzed dwóch tygodni.

Wyszliśmy z „winowajcą" na ulicę. Najpierw wyrzuty: „Coś pan narobił, w domu i tak stale się trzęsą, że kiedyś zginę..." A później opowieść, która dała dużo do myślenia.

„...nadrabiałem spóźnienie, leciałem chyba osiemdziesiątką. Trasę znałem dobrze. Wypadam na strzeżony przejazd i widzę, jak z boku, powoli, wjeżdża na szyny ciężarówka. Uruchomiłem hamulce, ale w myśli modlę się do szofera: uciekaj! A on staje mi na środku szyn i ani drgnie. Sparaliżowało go chyba ze strachu. Wagony pchają skład siłą rozpędu do przodu i w pewnym momencie widzę twarz szofera z ogromnymi wytrzeszczonymi oczami... Wrzeszczę: uciekaj! Ale wiem, że już nic z tego. Trzasnęliśmy przodem elektrowozu w miejsce gdzie widziałem te oczy. Panie, ja tego nigdy w życiu nie zapomnę. Przecież zabiłem człowieka... A potem na rozprawie żona tego szofera przy-

ADAM LEWASZKIEWICZ

Traktat o rozbojach

Kiedy przez miasto przewali się wieczorna zmiana, gdy niemal pustymi ulicami wloką się puste tramwaje, a z „Simu", „Casanovy" i „Arkadii" słychać skoczne „kawałki" — wybija ich godzina. Wychodzą na żer. Czają się w bramach. Czekają aż z knajp szumnie zwanych lokalami wytoczą się pijani — ich żer, furaż szwadronu rabusiów, wielkomiejskich sępów.

Rozboje. Takim mianem ochrzczono przestępstwa zagrożone karą do 15 lat więzienia, czyli zbrodnie. Wymowne są tytuły sądowych notatek: „Rozbój przed „Magdą", „Rabuś w „Egzotycznej", „W biały dzień", „Rabusie wędrują do aresztu". Tytuły się powtarzają, dublują, a uważni czytelnicy rubryk sądowych dostrzegają, że okoliczności napadów są podobne, bliźniaczy jest również sposób działania, zmieniają się tylko inicjały poszkodowanych, nazwy ulic i nazwiska bandziorów. Jest zatem pewien stereotyp przestępczego działania, są ulubione miejsca, godziny działania. Gra więc toczy się według pewnych schematów i reguł. Odkryjmy karty tej gry.

NIEBEZPIECZNE MIEJSCA I... STANY

Nasilenie rozbojów zanotowano przed czterema laty. Doraźnemu działaniu organów ścigania, zmierzającemu do poprawy stanu bezpieczeństwa w mieście towarzyszyły badania tego zjawiska. Zaczęto problemowi przyglądać się uważnie, sporządzać geografię zjawiska, badać zasięg. Zaczęto się przyglądać liczbom, miejscom przestępstw, ofiarom i rabusiom. Czas naglił. Liczby mówiły — w 1966 r. zanotowano 285 rabunków w Łodzi. W rok później 231 rozbojów.

Analizy tej kategorii przestępczości wykazały, że o wyborze miejsc działania rabusiów decydują... pory roku. Wiosną i latem rejonami najbardziej zagrożonymi bandycką działalnością są parki, większe skwery, ulice na peryferiach miasta, ale przede wszystkim parki: Staszica, Mickiewicza, Staromiejski i Park Ludowy na Zdrowiu. Natomiast jesienią i zimą większość tych przestępstw popełniana jest w pobliżu kawiarń i restauracji. Najbardziej w tym czasie zagrożone rejony Łodzi, to: Pl. Niepodległości i Reymonta oraz ul. Rzgowska. A także kwadrat zamknięty ulicami: Więckowskiego, Wólczańska, 22 Lipca i Żeromskiego. Miejscem sporej ilości rozbojów był rejon Pl. Wolności, ul. Piotrkowska (od Tuwima do Narutowicza) ulica Armii Czerwonej, a szczególnie park Staromiejski.

Niemal wszystkie rozboje dokonane zostały w godzinach wieczornych lub nocnych. Wiele z nich, to przestępstwa nie planowane. Stosując przemoc rabusie biją ofiary nie uzbrojoną ręką. Na 231 przestępstw tej kategorii — 8,2 proc. dokonano przy użyciu różnych narzędzi, zdobytych najczęściej przypadkowo. Teraz kilka słów o bandytach. W 124 przestępstwach (na 231 w 1967 r.) występował tylko jeden sprawca. Stąd wniosek — w Łodzi nie działają zorganizowane grupy przestępcze, a występowanie kilku sprawców jest wynikiem powiązań koleżeńskich. Rozbój jest przestępstwem dokonywanym przede wszystkim przez ludzi młodych, aż 211 ustalonych przez milicję sprawców to ludzie w wieku do 25 lat.

Jak wynika z badań, około 60 proc. rozbojów ma znamiona przypadkowości, a ofiarami i sprawcami są w głównej mierze osoby nietrzeźwe. I znów liczby mówią: — na 231 wszczętych przez MO w 1967 r. spraw — w 117 wypadkach pokrzywdzonymi byli nietrzeźwi. Tyle milicyjno-prokuratorskie rozeznanie przed miotu. Tyle cyfry. A ludzie, co mówią ludzie?

USYPIAJĄCY GANG

Przeprowadzone przez organa ścigania badania, z konieczności badania szybkie i zaledwie dotykające problemu wykazują, iż około 60 procent rozbojów zawiera znamiona przypadkowości, a ofiarami ich są w głównej mierze osoby nietrzeźwe. Chciałoby się zapytać — to przypadek, czy coś więcej? A może to wcale nie przypadek decyduje o wyborze pijanych na ofiary rozboju, a może to jest system? Nietrzeźwy bowiem nie pamięta dobrze okoliczności rabunku, nie potrafi podać rysopisów sprawców, ledwo stoi na nogach, a więc i wiele z nim rabusie nie mają kłopotu, łatwiej z nim nawiązać kontakt bez wzbudzania podejrzeń, szamotaninę można wobec przypadkowych przechodniów usprawiedliwić koleżeńskimi nieporozumieniami, a i milicja nie wie nigdy na pewno — czy nietrzeźwy padł rzeczywiście ofiarą rozboju, czy też zegarek lub pensję przepił i szuka usprawiedliwienia przed rodziną. Na uwagę zasługuje również to, że wiele rozbojów dokonywanych jest metodą „na wabia", bądź też w różnych melinach. Poszkodowani znają wtedy adresy, ale rabusie starają się zawsze stworzyć takie sytuacje (drastyczne lub ośmieszające napastowanych) aby tych ostatnich odeszła chęć złożenia meldunku w milicji.

I metody stają się coraz bardziej wyrafinowane. Za przykład niech posłuży sprawa VII kp 383/69 z Sądu Powiatowego dla m. Łodzi.

Mikołaj K., któremu 28 tys. zł rozpychało kieszenie, siedział smutny w restauracji hotelu „Savoy". Smutek jego wypływał z faktu, że już ponad godzinę był nie zauważany przez kelnerów. Ludzie w smokingach nie dostrzegli go bowiem, to fakt, nie był ubrany wieczorowo. Smutek Mikołaja K. dostrzegł nudzący się przy sąsiednim stoliku Stefan Kula. Przysiadł się. Pogadali. Uzgodnili — wieczór bez towarzystwa płci pięknej jest smutny. Tak się złożyło, że w drzwiach restauracji stały dwie kobiety, których nie chciano wpuścić do środka, a to głównie z powodu ich profesji. Zawarto znajomość piorunem. Mikołaj K. kupił pół litra w bufecie i towarzystwo udało się na drugie piętro do pokoju nr 213 zajmowanego przez Mikołaja K. Gospodarz zdając sobie sprawę z tego, iż tego wieczoru wszystko może się zdarzyć — między blatami stolików stojących na korytarzu ukrywa 27 tys. zł. Jego przeczucia były słuszne, wracając do pokoju stwierdza brak kilkuset złotych i jednej osoby.

Świt zastaje najbardziej wytrwałych, a więc gospodarza, Stanisława Kulę i 27-letnią Wiesławę Skalską — w hotelowym pokoju. Gospodarz hotelowego pokoju wyjmuje ze schowka pieniądze i skacze do „Delikatesów" po wódkę i zagrychę.

— Patrzcie — mówi, pokazując harmonię pięćsetek — całe szczęście, że ukryłem pieniądze, bo bym ich teraz już nie miał. Napełniono kieliszki, wzniesiono toast i...

Pokojowa spostrzegła, że w pokoju nr 213 od dłuższego czasu palą się światła i zbyt głośno, nienaturalnie głośno gra radio. Puka. Cisza. Pokój jest zamknięty, klucza brak w zamku, na łóżku śpi gość. Łomocze w drzwi. Gość się nie rusza. Otwiera zapasowym kluczem. Potrząsa Mikołajem K. i nie może go dobudzić. Zawiadamia dyrekcję, pogotowie ratunkowe i milicję. W szpitalu lekarze stwierdzili — Mikołajowi K. podano w wódce środek nasenny. Rabusie w hotelu zatarli ślady — wypłukali kieliszki. Ażeby odwlec chwilę wykrycia przestępstwa, zamknęli pokój, a klucz zabrali i wyrzucili. Ale, rzecz jasna, rabunku 27 tys. zł dokonać musieli S. Kula i W. Skalska. Tylko oni bowiem byli w pokoju. Ktoś z tej pary również wsypał Mikołajowi K. środek nasenny do kieliszka.

Mikołaj K. nie był pierwszym, który dla pani Wiesławy stracił głowę i przytomność. Przed kilku miesiącami w „Casanovie" bawił się z p. Wiesławą — Zbigniew S. W pewnej chwili stracił świadomość i... 6.500 zł. Charakterystyczne jest, że Zbigniew S. twierdził, iż został czymś „zatruty".

W jakiś czas potem w innym miejscu towarzyszący Wiesławie Skalskiej mężczyzna częstuje Stanisława Z. — kolejną ofiarę „odurzającej" kobiety — papierosem, po którym pokrzywdzonemu, jak powie: „zakołowało się mocno w głowie".

Rzecz jasna epilog całej historii rozegrał się przed sądem. Stefana Kulę skazano na 5 lat więzienia i 15 tys. zł grzywny, a „odurzającej" Wiesławie wymierzono karę łączną 6 lat więzienia i 20 tys. zł grzywny. Kara ta, jak podkreślił sąd „spełnia wymogi polityki karnej, dyktowanej przez względy prewencji ogólnej i szczególnej".

A jak karano innych rabusiów? Kary pozbawienia wolności od 2 do 5 lat orzeczono w 1966 r. w stosunku do 67,6 proc. sprawców, a w rok później w stosunku do 81,3 proc. Na kary powyżej 5 lat więzienia skazano w 1966 r. 22,2 proc., a w 1967 — 5 proc. sprawców. Wzrosła również wykrywalność tego typu przestępstw; np. w ub. r. wynosiła ona około 86 proc. Innymi słowy to znaczy, że na 100 rabusiów 86 wędruje do aresztu w tym roku kalendarzowym, w którym popełnili przestępstwo. Wielu innych ujawnionych jest po okresie roku, tak, że w zasadzie wykrywalność jest większa.

Czy znamy jednak motywy działania rabusiów? Co kryje się za ogólnym stwierdzeniem, iż działają z chęci zysku? Jakimi kierują się pobudkami, bo przecież w każdej sprawie są one inne. Oto rozległe i białe miejsce na kryminologicznej mapie czeka w mieście uniwersyteckim na odkrywców: prawników, psychologów, socjologów pedagogów. O tych ludzi ze społecznego marginesu wielkiego miasta trwa, często wbrew ich woli, nieustanna walka. O przyszłość tych młodych ludzi i nasz spokój. Im będziemy lepiej znać ich samych, motywy ich działania, tym walka będzie skuteczniejsza, tym większe szanse ma sprowadzenie ich z niebezpiecznych ścieżek wiodących nieuchronnie do więzienia.

---

prowadziła dwoje małych dzieci i pokazywała mnie palcem. Takie same, przestraszone, duże oczy tych dzieci... Nie, nie mogłem nic powiedzieć u siebie w domu. Zresztą ja już chyba nigdy nie poprowadzę elektrowozu. W nocy, zamiast świateł semaforu widziałbym..."

Tyle maszynista, który nie zginął. Tyle o społecznych skutkach jednego wypadku, w którym oficjalnie były tylko dwie ofiary. A rodzina szofera? Rodzina maszynisty? Psychiczne obciążenie wielu ludzi na wiele miesięcy po katastrofie? Toteż nie wystarczy wyliczyć liczbę zabitych i rannych, podać cyfrę przybliżonych i uchwytnych strat materialnych, wskazać palcem winowajcę i jechać dalej. Każda katastrofa powoduje bowiem nie dostrzegane na ogół reperkusje, każda stanowi problem, którego nie można odłożyć „ad acta" wraz z zakończeniem dochodzenia i rozprawy sądowej.

Podobnie, jak skutków, tak i przyczyn katastrof jest wiele: pęknięta szyna, złamana oś wagonu, stary rozjazd, „zabawy" dzieci, (układanie kamieni lub innych przeszkód na torach), przemęczenie drużyn lokomotywowych (braki kadrowe, plaga nadgodzin na kolei), nieuwaga dróżnika przejazdowego, nastawniczego, dyżurnego ruchu, lekceważenie przepisów bezpieczeństwa na skrzyżowaniach dróg, itp. Są to na ogół znane przyczyny — nie tylko w PKP ale i na innych trasach świata.

Ostatnio dochodzą jednak nowe, nad którymi trzeba się zastanowić, biorąc pod uwagę perspektywy przynajmniej własnej skórze podczas minionego lata. Roboty na torach zmuszały bowiem do ograniczania szybkości pociągów, a wiadomo, że wystarczy na jednym odcinku „wypaść" z rozkładu najbliższego dziesięciolecia naszych kolei.

Wiadomo, że kolej była od lat niedoinwestowana. Wzrost zadań przewozowych ogromnie wyprzedził stan techniczny urządzeń, torów i taboru kolejowego. Modernizacja, unowocześnianie kolei nie wytrzymywały konkurencji z priorytetowymi inwestycjami innych resortów. Intensyfikacja przewozów kolejowych (już w 1965 r. natężenie ruchu licząc w tysiącach netto-tono-km na 1 km linii wynosiło 3 900, co plasowało PKP w czołówce Europy) była przyczyną nadmiernej eksploatacji starych urządzeń, a nowych kolej nie dostawała.

Na pocieszenie wszystkich użytkowników PKP — a któż z nas nie korzysta z kolei — trzeba jednak stwierdzić, że ostatnio zmieniła się ogromnie polityka inwestowania kolei. Uchwała Rady Ministrów z 28 kwietnia br. skoncentrowała uwagę m. in. na przedsięwzięciach, które zmierzać będą do zlikwidowania występujących w gospodarce narodowej dysproporcji, związanych ze zbyt wolnym, w stosunku do potrzeb, rozwojem transportu kolejowego. Wzrosły więc nakłady zwłaszcza na modernizację nawierzchni, zaplecza kolei i na środki przewozowe. Intensyfikacja robót inwestycyjno-modernizacyjnych przyniosła jednak nowe niebezpieczeństwa.

Dał się zauważyć pewien chaos w ruchu pociągów i brak regularności, co pasażerowie PKP odczuli już na jazdy, by na przeładowanych szlakach już do końca tej straty nie odrobić. Poza tym każda „usankcjonowana" nieregularność rozluźnia dyscyplinę, czego dowód mieliśmy podczas ostatniej katastrofy pod Kutnem. Na skutek robót torowych i unieruchomienia blokady samoczynnej (zamiast semaforów świetlnych działają tam obecnie prymitywne semafory ramienne, pociągane drutem) puszczono naprzeciw siebie na jeden tor dwa ekspresy...

Istnieją różne niebezpieczeństwa w okresie przejściowym, wyłaniają się też dodatkowe w czasie wdrażania nowej techniki na PKP. Przeszło 60 proc. załóg wielu jednostek składa się z tzw. chłopo-robotników, którzy ani nie są zbytnimi specjalistami jako rolnicy, ani też fachowcami z odpowiednim przygotowaniem jako kolejarze. A wymagania rosną. Cóż więc należy czynić, aby uniknąć katastrof i perturbacji na kolei w okresie przejściowym i w przyszłości?

Liczba zamknięć torów, ograniczania szybkości, okresowych zmian w ruchu pociągów będzie rosła zgodnie ze wzrostem nakładów i podejmowanych robót. Ogółem nakłady inwestycyjne na cały resort komunikacji mają wzrosnąć w przyszłej 5-latce o 21,6 proc., (ogółem 59,1 mld zł), a na PKP o 29 proc. (45,5 mld zł) w tym na zakup taboru — o 26,6 proc., roboty budowlane i montażowe — o 48 proc., i na nowe podkłady — o 15 proc. Konteneryzacja, radiołączność, dwupoziomowe skrzyżowania, „kombajny" do prac torowych, przekaźnikowe nastawnie, samoczynna blokada liniowa i przejazdowa, wydzielone tory i inne techniczne nowalijki spowodują zapewne w przyszłości bardziej komfortową, szybką i bezpieczniejszą podróż kolejami.

Do tego jednak, byśmy bezpiecznie jeździli, są konieczne nie tylko nowe warunki techniczne. W końcu o wielu węzłowych sprawach nadal decydować będzie człowiek, jego kwalifikacje, sprawność fizyczna, organizacja pracy, jaką sobie narzuci i dyscyplina, jakiej będzie stale przestrzegał. Dyscyplina zarówno kolejarza, jak i społeczeństwa korzystającego z usług PKP. Chcąc uzyskać maksimum bezpieczeństwa, trzeba jednocześnie z planami inwestycyjnymi układać plany organizacyjne, zmieniane zależnie od okoliczności, unikające rutyny. Tam, gdzie są prowadzone jakiekolwiek roboty na torach, trzeba zatrudniać przy kierowaniu ruchem pociągów najlepszych pracowników, zdolnych do podejmowania szybkich decyzji w nietypowych sytuacjach. Ponieważ problem kadrowy na PKP nie wygląda najlepiej (starzy fachowcy odchodzą, a młodzi, wykształceni, niezbyt chętnie garną się na kolej) trzeba pomyśleć o wywalczeniu rejonowego priorytetu w dziedzinie zatrudnienia, o stwarzaniu nowym kadrom lepszych warunków socjalnych w pracy i poza nią. Resortowe szkolenie pracownicze — zawodowe i uczniowskie przyzakładowe może dać odpowiednie efekty dopiero wtedy, gdy wykładowcami będą wybitni specjaliści, gdy programy będą uwzględniały na bieżąco wszystkie wprowadzane nowości, gdy kolej przestanie być dostarczycielem kadr transportowych fachowców dla zakładów innych branż. Niezmiernie ważna jest ścisła współpraca między teoretykami i praktykami. Naukowcy z Centralnego Ośrodka Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa muszą w większym niż dotychczas stopniu nadążać za prężną praktyką, bo od rozpoczęcia badań do wdrożenia ich efektów w życie jest jeszcze u nas zbyt ślimacza droga.

A poza tym — mówiąc tak między nami, nie kolejarzami — bezpieczeństwo na żelaznych szlakach zależy też w dużym stopniu od zdyscyplinowania kierowców samochodów (coraz większy tłok na skrzyżowaniach), od umiejętności poruszania się pieszych po terenach kolejowych i od wychowania młodzieży przez dom, szkołę i organizacje społeczne, a nie przez mandaty milicjantów i SOK, których nie starczy do obstawienia każdego semaforu, szlaku czy pociągu.

Lubimy jeździć koleją, będziemy jeździć jeszcze intensywniej bo według przewidywań w 1975 r. liczba pasażerów kolei normalnotorowych sięgnie 1.160 mln (o około 10 proc. więcej niż w 1969 r.). Toteż musimy wszyscy zadbać o to, aby szlaki kolejowe stawały się coraz bezpieczniejsze.

ROMUALD KOWALSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

Music-hall z Leningradu

Leningradzki music-hall jest bardzo młody. I to nie tylko dlatego, że młodzi są członkowie zespołu artystycznego (przeciętny wiek wynosi 21 lat). Powstał na 50-lecie Związku Radzieckiego, a więc ma dopiero dwa lata. A przecież zanim do nas przyjechał poprzedziła go już głośna fama i sukcesy na estradach zagranicznych — w paryskiej „Olympii" i berlińskim „Friedrichstadtpalast". Paryż chce ich zobaczyć znów w 1971 roku, mają już zaproszenie do Anglii i Meksyku. Nie mówiąc już o powodzeniu jakim cieszą się we własnym kraju. W Leningradzie występują w sali na cztery tysiące miejsc, w Moskwie — na dwa i pół tysiąca.

Pierwszy program z jakim wystartowali (jeden program przygotowywany jest tam na trzy lata) miał w Związku Radzieckim 500 przedstawień, za granicą około stu, jednym słowem w Łodzi wypadł akurat jubileusz 600-nego spektaklu.

Czym tak młody teatr podbija serca publiczności? Jest w tym programie *), jak w każdym programie rewiowym żart, muzyka, taniec, piosenka. Jest 35 pięknych, długonogich tancerek (we Francji nazwano je blond-sex-bombami), spraw nych technicznie, znakomicie w tańcu zharmonizowanych, są piosenki, akrobacje i wiele innych atrakcji, są piękne kostiumy, barwne, pomysłowe. Ale jest też coś, co ten zespół wyróżnia spośród innych zespołów tego typu. To jest folklor narodów radzieckich.

Tradycje rewiowe sięgają w Rosji lat trzydziestych, ale nie do nich sięgnięto tworząc w 1967 roku leningradzki music-hall. Pokazano ich w jednym z punktów programu tyle, żeby dla zabawy przypomnieć z czego się ludzie dawniej śmiali. Kierownik artystyczny zespołu i reżyser programu Ilia Rachlin powiedział: „Tworząc tę scenę chcieliśmy, aby różniła się od innych i dlatego pomysłów szukaliśmy w folklorze — takim jakim go widzi współczesny odbiorca". I uczyniono słusznie, bo to co w programie jest najbardziej wartościowe, najbardziej ciekawe, wywodzi się właśnie z folkloru narodów radzieckich, ogromnego, bogatego źródła inspiracji artystycznej. Dla przykładu: pomysłowo zainscenizowane trio wokalne „Poleszanie", pełen werwy i temperamentu taniec „Nowogrodzcy łyżkarze", piękny oryginalny taniec „Dzwony Rostowa Jarosławskiego", „Wołgogodzkie koronczarki" i inne — to piękne tło stylizowanego folkloru dla tej rewii. Folklor, szczególnie w muzyce, przez cały czas towarzyszy temu przedstawieniu.

Program jest bardzo żywy, urozmaicony, obok tradycyjnych numerów rewiowych pokazuje akrobacje, a nawet popisy iluzjonisty — potrakt towane z przymrużeniem oka. Ma też numery oryginalne jak na przykład „Motyl i kwiat" — poetycką impresję quasi-plastyczną, opartą na grze światła i ruchu, czy pełną wdzięku „Zabawę z tygrysem", uroczą wielką lalką, którą z mistrzostwem i poczuciem humoru kierują Władimir Korzakow i Władimir Martinow, czy też występy Mirona Biełakowskiego, człowieka-orkiestry, naśladującego wszystkie niemal instrumenty muzyczne. Wśród solistów-piosenkarzy wyróżnia się Nina Kosta, dysponująca głosem o bogatej skali i pięknej ciemnej barwie, prezentująca duży dramatyczny talent interpretatorski, a jednocześnie dużo wdzięku temperamentu i humoru. To świetna aktorka rewiowa. Podobał się również Edward Bokser piosenkarz o dużym głosie i nie mniejszym temperamencie, ciekawej interpretacji wykonywanych piosenek.

Gwoli sprawiedliwości należałoby tu wymienić znacznie więcej nazwisk, nie sposób jednak, zespół przecież liczy sto osób.

Nasi goście pokusili się o rzecz bardzo dla nas sympatyczną i ułatwiającą nam odbiór przedstawienia, ale dla nich na pewno bardzo trudną — prowadzenie konferansjerki po polsku. Czynili to z wdziękiem Ulle Ułła (także doskonała tancerka) i Siergiej Bielacki, dostarczając nam swą polską fonetyką dodatkowej zabawy.

* „Nic piękniejszego nad Cie bie" — rewia Państwowego Leningradzkiego Music-hallu. Scenariusz: O. Lewicki i I. Rachlin, układy taneczne: Michaił Godenko, Gisela Walther i Walter Schumann, scenografia: Siemion Mandel, muzyka: Stanisław Pożłakow i Stanisław Gorkowienko.

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Faust"	2	2394	95
„Romeo i Julia"	1	1260	100
„Cyrulik Sewilski"	1	1196	95
„Carmen"	1	1134	90
NOWY			
„Życie jest snem"	4	2800	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	700	100
NOWY Mała Sala			
„Bliski nieznajomy"	3	480	80
„Szkoła kobiet"	1	200	100
„Kaprys"	1	200	100
POWSZECHNY			
„Płaszcz"	2	1320	100
„Kawior i kaszanka"	2	1200	90
„Boso, ale w ostrogach"	1	660	100
JARACZA			
„Ballada o tamtych dniach"	4	1984	80
„Pan Jowialski"	2	1240	100
„7,15"			
„Jadzia wdowa"	5	2004	95
„Adela i stressy"	1	442	100
OPERETKA			
„Skrzydlaty kochanek"	6	6337	98
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	1018	70

TV OBIEKTYW

Odżywają upiory

Nie mógłbym pominąć widowiska „Epilog Norymberski", nadanego z Warszawy w dniu 24 listopada. Był to bowiem jeden z ciekawszych programów na przestrzeni długiego czasu. Można było nawet sformułować zarzut, że w telewizji ostatnio „nic się nie dzieje". Poprawność, lepsze lub gorsze pozycje, brak ewenementów.

Nie chcę o „Epilogu Norymberskim" pisać w tonacji „och" i „ach". Przeciwnie pragnę dokonać analizy krytycznej tego widowiska. Ale na wstępie muszę stwierdzić, że wraz z pojawieniem się tej inscenizacji na małych ekranach „coś się wreszcie zaczęło dziać".

Nie był to jeszcze jeden spektakl Teatru Telewizji według przepisu, który już się jakoś tam wykształtował. Widowisko Jerzego Antczaka zrywa z szablonem i podejmuje ryzyko wypróbowania środków wyrazowych telewizji w dziedzinie udramatyzowanej publicystyki.

Na czym polega to odejście od szablonu? Wymienię kilka czynników.

Po pierwsze tekst dramatyczny nie ma w sobie nic (albo niewiele) z fikcji literackiej. Opiera się na relacjach norymberskich Tadeusza Cyganiana, Jerzego Sawickiego i Arkadiusza Półtoraka. Te zaś na dokumentach i stenogramach procesu. Praca dramaturgiczna, dokonana przez samego reżysera, polegała więc na wyselekcjonowaniu niektórych fragmentów z ogromnego materiału (proces w Norymberdze trwał ponad dziesięć miesięcy, obejmował 403 sesje publiczne, liczne posiedzenia zamknięte dla ustaleń proceduralnych, przedstawiono Trybunałowi Międzynarodowemu kilka tysięcy dokumentów, przesłuchano setki świadków).

Druga sprawa, będąca konsekwencją pierwszej, to umowność procedury i przebiegu procesu na małym ekranie. O tej umowności widz został zaraz na wstępie uprzedzony. Dwu i pół-godzinny spektakl przekazać musiał treści, które w rzeczywistości narastały w żmudnych, wlokących się miesiącami sesjach trybunału. Musieliśmy się więc pogodzić z myślą, że otrzymamy obraz uproszczony, skrótowy.

Następny czynnik to wprowadzenie do spektaklu naocznego świadka procesu w Norymberdze, nie aktora, lecz znanego komentatora Karola Małcużyńskiego. On jeden w widowisku grał siebie, był superrewidentem uwierzytelniającym, że widowisko w wymowie swej nie odbiega od wydarzeń historycznych, do których nawiązuje. A więc w osobie red. Małcużyńskiego następował styk dokumentu inscenizowanego z autentycznym wspomnieniem świadka.

Wreszcie — aktorzy, którym powierzono role Goeringa (M. Pawlikowski), Keitla (T. Białoszczyński), Ribbentropa (H. Borowski), Kaltenbrunnera (R. Pietruski) i in. oskarżonych. Reżyser przyjął zasadę zerwania z fotograficznym naśladownictwem wyglądu poszczególnych postaci. Byłoby to może trudne, ale z pewnością przy pomocy charakteryzacji możliwe. Tylko po co? Przecież widza w całym spektaklu traktuje się jako świadomego współpartnera. Nie próbuje mu się niczego wmówić, ani go zablagować.

Jeżeli więc widowisko budziło atmosferę powagi, a chwilami (dokumentalny materiał filmowy ilustrujący zbrodnie hitlerowskie!) było wstrząsające, to efekt ten osiągnięty został rzetelnością relacji, siłą przedstawianych dowodów i argumentów. Myślę, że refleksje i wzruszenia, jakie w nas spektakl wywołał, były trwalsze i szlachetniejszej próby, niż te które udałoby się zbudzić drogą pełnej inscenizacji, stawiającej sobie za cel iluzję rzeczywistości.

Zamiast jakby kalkomanii („jakby", bo lustrzana odbitka rzeczywistości byłaby ze względów technicznych niemożliwa) otrzymaliśmy ekranowy ekwiwalent historycznych wydarzeń, próbkę atmosfery procesu. Tego wielkiego i jedynego w dziejach świata procesu, w którym reprezentacje narodów zaatakowanych i poszkodowanych sądziły w majestacie prawa bezpośrednich sprawców zbrodni.

Można by dyskutować z reżyserem jako dramaturgiem, czy dobór fragmentów był zawsze najlepszy, czy mając do zagospodarowania stosunkowo krótki odcinek czasowy, dokonał tego w sposób najlepiej wyważony. Wewnętrzne proporcje materiału dramaturgicznego wydają mi się chwilami zwichnięte. Sprawa uznania lub nie niemieckiego sztabu generalnego za organizację zbrodniczą — z pewnością problem wielkiej wagi, ale nie podstawowy, rozrósł się w pierwszej części widowiska do tego stopnia, że można byłoby mieć wątpliwości co do głównych celów procesu.

Aktorzy wypełnili swoje zadania na ogół bez zarzutu. Obok wspomnianych wyżej wymienić trzeba z uznaniem Andrzeja Łapickiego (narrator i prokurator amerykański Jackson), Stanisława Jasiukiewicza (prokurator radziecki gen. Rudienko), Zdzisława Mrożewskiego (prokurator brytyjski Showcross), Henryka Bąka (komendant Oświęcimia Hoess), Karolinę Lubieńską (Seweryna Szmaglewska). Wątpliwość moja wzbudziło ujęcie roli Jodla przez Mieczysława Voita. Aktor przesadził chyba w godności, jaką tchnął w tę postać generała-zbrodniarza. Gdyby nie nasze jednoznaczne rozeznanie, przy sprawie Jodla można by mieć wątpliwości co do stopnia jego winy.

Ale to drobiazgi! „Epilog Norymberski" jest nie tylko widowiskiem szlachetnym w ideowej wymowie, ale i ciekawym eksperymentem w dziedzinie warsztatu telewizyjnego.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film „DLA ZABICIA CZASU" w reżyserii Artura Wojteckiego otrzymał w 1968 r. nagrodę za najlepszą ekranizację utworu literackiego na Festiwalu Republik Zakaukaskich i Ukrainy w Erewaniu. Widzowie polscy, którzy ten film obejrzą, uznają zapewne, że jest to jedna z najlepszych adaptacji w kinematografii radzieckiej.

Film Wojteckiego — ekranizacja opowiadania Maksyma Gorkiego „Z nudów" jest znakomitym przykładem znalezienia ekwiwalentnych środków wyrazu sztuki kina dla literackiego tekstu. Co więcej, odnosi się wrażenie, że zmaterializowana w obrazie nośność autorskiego słowa spotęgowała swe znaczenie.

Surowy był Gorki, gdy w swym opowiadaniu przedstawiał maleńki światek ludzi z zagubionej w stepach stacyjki. Światek ten daje sytuację modelową, w której Gorki, a za nim twórcy filmu analizują granice ludzkiego okrucieństwa zrodzonego w atmosferze nudy, poczucia własnej klęski, bezduszności i zwykłego prymitywizmu.

Film „Dla zabicia czasu" chwyta za gardło, każe krzyczeć i poraża, gdy uświadamia naszą bezsilę wobec zła niewątpliwie zrodzonego w określonych okolicznościach, ale przecież tkwiącego w samym człowieku.

W świadomie zwolnionym rytmie przesuwają się przed naszymi oczyma identyczne niemal ujęcia, w których oglądamy te same elementy. Ten sam krajobraz, ta sama stacyjka, ci sami ludzie, niezmienny, co dzień ten sam rytuał oczekiwania na przejeżdżający pociąg-symbol innego życia, a potem co dnia identyczny ceremoniał obiadowy tworzą klimat bezsensownej egzystencji i absolutnej pustki wewnętrznego życia bohaterów. Wtedy gotowiśmy im jeszcze współczuć. Gdy jednakże ten codzienny rytuał powtórzy się wówczas, gdy na naszych oczach ci sami właściwie nieszczęśliwi ludzie staną się katami, gdy patrząc w ich twarze dostrzeżemy, że nie zrozumieli nic z tego co się stało, wtedy właśnie nastąpi ów moment porażenia, o którym była mowa wyżej.

Rzadko w filmach będących adaptacją literatury spotykamy się z tak konsekwentną stylistyką, jak w filmie „Dla zabicia czasu". Zazwyczaj reżyser szukając filmowych ekwiwalentów brnie w gąszcz rozwiązań i chwytów, z których trudno potem stworzyć harmonijną całość.

Konsekwencja reżyserii Wojteckiego pozostaje w ścisłym związku z przemyślaną, niezwykłą urodą plastyki tego filmu. Jej twórcą jest debiutujący operator W. Baszkatow, który tym pierwszym swym filmem zdołał ujawnić swój, nie żałujmy tego słowa, wielki talent.

Znakomite w tym filmie aktorstwo, konsekwentnie utrzymane w duchu stanisławowskiego stylu, wyrosła z grafizmu plastyka filmu, wolny rytm narracji, wielość ujęciowych powtórzeń i leżący u podstaw filmu tekst literacki, wszystko to mogłoby sugerować, iż film Wojteckiego i Baszkatowa grzeszy teatralnością ekranizacji. Te wrażenia pryskają wraz z minutami uczestnictwa w spektaklu, który jest nade wszystko znakomitym kinem.

Tajemnicą, choć zupełnie innego rodzaju, jest również to, co skłoniło ambitnego przecież reżysera Sylwestra Chęcińskiego do realizacji kryminału **„TYLKO UMARŁY ODPOWIE"** wg powieści Andrzeja Wydrzyńskiego. Może zadecydowały o tym właśnie ambicje reżysera, który uwierzył, że zdoła dotrzeć do głębszych warstw tej sensacyjnej opowieści. Świadczą o tym zmagania Sylwestra Chęcińskiego i dwu dobrych aktorów Ryszarda Filipskiego i Bogusława Sochnackiego ze scenariuszem Wydrzyńskiego. Przywołany na pomoc Mieczysław Jahoda usiłował, zwłaszcza w końcowej części filmu, ekspresją fotografii tworzyć nadbudowę lecz i on nic tu nie wskórał.

Wątłość scenariusza, naiwność, brak konsekwencji i logiki — te wszystkie cechy posiada właśnie scenariusz Wydrzyńskiego. Dodajmy do tego prymitywny i żenujący płaskością obiegowych dowcipów dialog, a staniemy znów u wrót tajemnicy, która otacza akceptację scenariusza tego filmu. Wstyd może to stwierdzić, ale odnosi się wrażenie, że pewne ambicje realizatorów filmu właściwie jeszcze pogorszyły sytuację. Bowiem zgodnie z intencjami reżysera, śledząc niby to pogłębioną psychologicznie postać kapitana Pawła, popadamy w większe rozterki, aniżeli miałoby to miejsce wówczas, gdyby te zamiary realizatorom nie towarzyszyły.

W żaden sposób nie możemy pojąć w pełni motywów postępowania zbuntowanego kapitana, co chciał udowodnić swym przełożonym i dlaczego, na to już „tylko umarły odpowie", reżyser bowiem pracę zakończył. Widzowi pozostanie westchnienie żalu, wymarsz po zakup biletu na kryminał bez czołówkowego znaku „Film Polski", gdyż słusznie będzie uważał, że odosobniony „Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię" J. Majewskiego i K. Kąkolewskiego jeszcze nie uczyni wiosny.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

RZEŹBIARZ O SPOJRZENIU TOŁSTOJA

„Setny rok mi już idzie, a wciąż mam ochotę pracować. Jestem codziennie w pracowni i dlatego zachowałem zdrowie. Bez pracy dawno już bym nie żył. Co prawda w święta odpoczywam, wyjeżdżam oglądać drzewa w podmoskiewskich lasach, wybierac materiał dla mojej pracy. Tak, tak moje dzieci. Zbliżam się do setki"

S. Konienkow *Paganini*

— mówił do dziennikarzy rzeźbiarz Siergiej Konienkow. Trochę jednak przesadził z tą setką bo liczy sobie „tylko" 95 lat. Staruszek jest uderzająco podobny do Lwa Tołstoja. Ma podobną siwą długą brodę i jego spojrzenie. Pochodzi ze wsi koło Smoleńska. Dziś mieszka w Moskwie, a jego pracownia pełna jest rzeźb i podstawowego tworzywa tego rzeźbiarza — ogromnych i mniejszych pni drzewnych z korzeniami, które są nieraz bardzo ważnym elementem jego dzieł. Przez długie lata artystycznej działalności Konienkow najchętniej rzeźbił fantastyczne postaci z baśni i podań ludowych oraz portrety artystów i uczonych. I tak np. przez pół wieku fascynowała rzeźbiarza postać Paganiniego. Rzeźbił go w drzewie i marmurze starając się oddać nie tylko podobieństwo, ale nastrój muzyki i demoniczną osobowość słynnego skrzypka. Ostatnia rzeźba przedstawiająca Paganiniego to przedziwnie przeplecione korzenie ogromnego pnia. Ręce-korzenie, palce z gałązek, włosy z korzeni razem wizerunek niesłychanie ciekawy, oryginalny i równocześnie zachowujący podobieństwo do rysów skrzypka. Konienkow rzeźbił Dostojewskiego i Einsteina, Majakowskiego i Bacha, Ułanową i wielu innych. Jest laureatem Nagrody Leninowskiej.

LATA SZKOLNE MARCELA PAGNOLA

„W klasie czwartej naszym wychowawcą był pan Caleazzi, którego nazywaliśmy Zizi. Był wielki, chudy, lekko zgarbiony, nosił spiczastą bródkę, już siwiejącą. Miał duży orli nos. Spoglądał na nas zawsze prostym nieruchomym spojrzeniem jakby szklanych oczu i aby popatrzeć w prawo lub lewo obracał głowę jak latarnię. Głos miał słaby, ale czysty i starannie artykułował każdą sylabę. Nie powiem żeby wzbudzał w nas lęk, niepokoił jednak jak jaszczurka lub meduza".

Zacytowaliśmy początek nie wydanych jeszcze wspomnień Marcela Pagnola, wybitnego francuskiego dramaturga. Urodził się w roku 1895. Jest autorem m. in. głośnego wodewilu pt. „Pan Topaze". Nazwisko bohatera tej sztuki „Topaze" stało się następnie popularnym określeniem człowieka, którego zdemoralizował pieniądz. W roku 1947 Marcel Pagnol został wybrany do Akademii Francuskiej.

Ostatnio tygodnik „Paris-Match" wydrukował fragment wspomnień Pagnola pt. „Comment je suis devenu poete" (Jak zostałem poetą), w których sędziwy dziś już autor opowiada o swych przeżyciach na ławie szkolnej i o pierwszych swoich próbach literackich. Wspominki te pisane są z rozrzewnieniem i pobłażliwym uśmiechem, dowcipnie i z przymrużeniem oka.

Czytając wspomnienia Pagnola przypominamy sobie mimo woli „Bezgrzeszne lata" Makuszyńskiego, „Wspomnienia niebieskiego mundurka". W. Gomulickiego czy wspomnienia z lat szkolnych o kolegach i o pierwszych wierszach młodzieńczych radzieckiego poety Anatola Marienhofa w jego książce pt. „Romans z przyjaciółmi".

CZY ZAMORDOWANO TUTENCHAMONA?

Faraon Tutenchamon zmarł mając lat ok. 20, w XIX wieku przed naszą erą. Pochodził z XVIII dynastii. Jego mumię, w doskonale zachowanym grobowcu, odkryto w 1922 roku w Dolinie Królów koło Teb.

Obecnie po 33 wiekach od śmierci Tutenchamona prof. Ronald Harrison z Liverpoolu przypuszcza, że młodociany władca egipski nie zmarł naturalną śmiercią, lecz że uległ jakiemuś wypadkowi, albo co bardziej prawdopodobne, został zamordowany.

Jeszcze w roku 1922 kiedy odkryto mumię, epitolog Howard Carter zwrócił uwagę na to, że czaszka Tutenchamona za lewym uchem posiada jakąś szramę. Na ogół panowało przekonanie, że młodociany władca cierpiał na wrzód mózgu i że są to ślady po trepanacji czaszki. Teraz prof. Harrison zajął się dokładniej zbadaniem tej sprawy. Stwierdził on, że szczelina w czaszce jest zbyt głęboka by mogło tu chodzić o operację chirurgiczną. Prof. Harrison prześwietliwszy czaszkę Tutenchamona doszedł do wniosku, że władca egipski najprawdopodobniej został zamordowany i to z pobudek politycznych. W kilka lat bowiem po śmierci młodego faraona nastąpił przewrót pałacowy i XVIII dynastia została usunięta z tronu. Oczywiście są to tylko przypuszczenia. Któż zdoła rozszyfrować tajemnicę śmierci faraona sprzed trzydziestu trzech wieków?

„SZWEDZKIE ZAPAŁKI"

Jedną z najbardziej głośnych i poczytnych książek jakie ukazały się ostatnio na paryskim rynku księgarskim jest powieść Roberta Sabatiera pt. „Les allumettes suedoises" (Szwedzkie zapałki). Sabatier napisał już kilka książek, ale ostatnia jego powieść wzbudziła szczególne zainteresowanie. „Szwedzkie zapałki" oparte są na materiale autobiograficznym. Sabatier przedstawia dzieje sieroty, dziesięcioletniego chłopca, który nagle traci matkę, piękną właścicielkę sklepu z norymberszczyzną. Chłopiec zostaje przygarnięty przez dalszych krewnych. Są oni jednak zbyt zajęci, aby mogli poświęcać czas wychowywaniu sieroty. Bohater powieści mały Olivier Chateauneuf wałęsa się ulicami Montmartre'u zdobywając sobie przyjaciół wśród rówieśników i starszych, bacznie obserwując życie dzielnicy. Krytyka podkreśla wierność i celność z jaką autor oddał nastrój i barwę ulic paryskiego Montmartre'u lat trzydziestych.

Chłopiec, który ma w sobie wiele cech słynnych młodocianych bohaterów powieściowych takich jak Gavroche czy Oliver Twist, budzi w czytelniku wspomnienia dzieciństwa.

Pudełko zapałek jakie zdobywa mały Olivier staje się magicznym przedmiotem w ręku chłopca, swoistym skarbem. Posiadanie zapałek daje mu poczucie mocy, władzę rozjaśniania ciemności i przywołania ciepła. Młody Prometeusz, którego ustawicznie kortci zrobienie użytku ze swego skarbu, zapala wreszcie na podwórku śmieci. Wybucha ogień, który grozi pożarem, ale w porę zostaje ugaszony. Scena dość błaha, ale służy autorowi do przedstawienia różnych postaw ludzkich i psychiki bohatera.

FRANCUSKIE NAGRODY LITERACKIE

Ostatnio zostały w Paryżu przyznane dwie dość ważne nagrody literackie — Goncourtów i Renaudota.

Prix Goncourt otrzymał Felicien Marceau za powieść pt. „Creezy". Autor jest dramaturgiem i powieściopisarzem. W roku 1953 otrzymał nagrodę Interallie za powieść pt. „Porywy serc."

„Creezy" to powieść o miłości pisana tradycyjnym sposobem. Bohaterką jest modelka, której zdjęcia zdobią najrozmaitsze afisze reklamowe. Bohaterem jest poseł do parlamentu, członek komisji finansowej. Powstaje konflikt między jego miłością do Creezy, a obowiązkami wobec żony i dwojga dzieci.

Felicien Marceau, którego właściwe nazwisko brzmi — Louis Carrete urodził się w roku 1913 w Cortemberg. Był obywatelem belgijskim. Posiada niestety niechlubną przeszłość okupacyjną. Całą wojnę był kolaborantem, pracując w radio beligijskim. Za współpracę z okupantem został skazany po wojnie na 15 lat ciężkich robót. Uciekł z Belgii do Francji w roku 1944, a później otrzymał obywatelstwo francuskie.

Kandydatami do tegorocznej nagrody Goncourtów byli m. in. Robert Sabatier, Patrick Modiano i Michel Bataille.

Prix Renaudot otrzymał Max Olivier-Lacamp za debiut powieściowy pt. „Les feux de colere" (dosł. ognie gniewu). Treścią książki jest powstanie chłopsko-plebejskie Hugenotów w Langwedocji w początkach XVIII wieku. Książka Olivier-Lacampa jest „brutalna i liryczna zarazem" — jak to określa recenzent „l'Humanite". W powieści przeplata się rzeczywistość z fikcją. Max Olivier-Lacamp urodził się w Hawrze w roku 1914, ale jego rodzina mieszkała w Swennach (Swenny — to południowo - wschodnia i wschodnia część Masywu Centralnego we Francji opiadająca dość stromo ku dolinie Rodanu).

Olivier-Lacamp jest z zawodu dziennikarzem. Pracuje od kilku lat jako reporter dziennika „Le Figaro".

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „ODGŁOSÓW"

- ★ **JÓZEF ŚMIAŁOWSKI** — Legitymacja nr 179
- ★ **LUCJUSZ WŁODKOWSKI** — Jak zbudować piramidę Cheopsa?
- ★ **KAROL BADZIAK** — Sami swoi
- ★ **MICHAŁ ORLICZ** — „Reduta" Osterwy

oraz felietony, recenzje ciekawostki, nowela kryminalna.

od niedzieli do niedzieli

Prasowe tradycje Łodzi

ZAWODNA STATYSTYKA — 28 TYSIĘCY I PÓŁ MILIONA — DODATKI LITERACKIE — NIE TYLKO „TARZAN" — KTO REDAGOWAŁ „KRONIKĘ"? — PRÓBA LUCJANA SZENWALDA

Bardzo niewdzięczne czytelniczo są wszelkie roczniki statystyczne, wykresy czy bibliografie. Zagląda się do nich najczęściej z konieczności — rzadko dla samej radości odkrywania w tych pozornie monotonnych publikacjach rzeczy zaskakujących i ciekawych.

A jednak... Jakże mówić i pisać o łódzkich tradycjach czasopiśmienniczych bez bibliografii Wiesławy Kaszubiny — książki która wydana stosunkowo niedawno jest właściwie dostępna tylko w bibliotekach i każdy indywidualny posiadacz kryje się z tym skarbem, aby nie ulec prośbom i komuś nie pożyczyć. Bibliografia Kaszubiny notuje 834 tytuły gazet i czasopism z lat 1863 — 1944. Dla celów felietonu zaokrąglimy obie liczby i umownie przyjmijmy, że było 800 czasopism w ciągu stu lat.

Co to da? Jeśli przyjmiemy punkt widzenia statystyka — to na każde ćwierćwiecze wypadnie nam 200 tytułów. A ile mieliśmy w Łodzi tytułów w naszym ćwierćwieczu? Bo ja wiem — może dwadzieścia — może pięćdziesiąt?

Ale Czytelniku miły nie pogrążaj się w frustracji. Statystyka lubi płatać takie figle. Tytułów było — owszem — dużo, ale jakże często owe pisma to czyste efemerydy, meteory błyskające bardzo krótko na łódzkim nieboskłonie. A nakłady? Cztery polskie dzienniki utrzymujące się najdłużej na prasowym rynku Łodzi miały przeciętnie 20 — 30 tysięcy nakładu, podczas gdy na przykład sobotni nakład „Głosu Robotniczego" sięga... pół miliona egzemplarzy. Więc powodu do frustracji nie ma.

A może są? „Republika" miała stały dział literacki redagowany przez samego Witolda Wandurskiego. „Kurier Łódzki" przez całe lata prowadził dodatek literacki a potem kolumnę literacką redagowaną przez obecnego profesora UW Jana Zygmunta Jakubowskiego. Jeszcze wcześniej „Nowy Kurier Łódzki" wydawał dodatek literacki — bite dwie kolumny. „Rozwój" — dziennik utrzymujący się 35 lat na łódzkim rynku też wiele miejsca poświęcił sprawom literatury — przymiotnik „literacki" miał zresztą w podtytule...

Na tym zresztą nie koniec. Oczywiście wydawano w Łodzi pisemka dość prymitywne w rodzaju „Tarzana", „Wolnych Żartów" czy brukowego „Lorda Listera" (z podtytułem „Tajemniczy nieznajomy"). Ale oprócz nich pozostaje przecież z tamtych lat coś niewątpliwie wartościowego, coś co byśmy chętnie i dziś widzieli na łódzkim rynku.

Było na przykład w roku 1922 pismo satyryczno-literackie „Tam-Tam", gdzie dział graficzny prowadził sam Andrzej Pronaszko, gdzie rysowali Kazimierz Grus i Artur Szyk. Poeta Mieczysław Braun współredagował tygodnik poświęcony sztuce o dziwnym tytule „Tańczący Ogień". To przecież działalność literacka i wydawnicza znanej grupy poetyckiej „Meteor" była w prostej linii kontynuacją „Tańczącego Ognia". A w drugiej połowie lat trzydziestych Kazimierz Wroczyński wydawał w Łodzi miesięcznik teatralny.

Przypominam te mniej znane przedsięwzięcia wydawnicze, ale jakże nie wymienić „Wymiarów" Timofiejewa i Sarneckiego, z którymi współpracował Władysław Strzemiński, jakże nie wspomnieć o „Prądach" — lewicowym czasopiśmie redagowanym po likwidacji „Meteora" przez Timofiejewa i Piechala.

No i wreszcie komunistyczna „Kronika" Szleye na a potem po likwidacji „Kronika Dwutygodniowa" redagowana przez Zenona Kliszko. A obok tego prorządowe „Osnowy Literackie"...

Coś się tu ciągle na prasowym rynku działo. Te wszystkie pisma, te dziesiątki tytułów są przecież jakąś sumą tradycji dziennikarskich i wydawniczych Łodzi. Są tradycją, której nie tylko nie mamy powodu się wstydzić, ale która wciąż warta jest przypomnienia.

Bo w końcu musiał w tym mieście istnieć jakiś dobry klimat, skoro jesiennego dnia 1936 roku zjawił się tu Lucjan Szenwald z zamiarem wydawania ambitnego pisma społeczno-literackiego o charakterze lewicowym. Oczywiście — z zamiarów nic nie wyszło. W tamtych latach brakło w Łodzi mecenasa chcącego firmować i inwestować pismo lewicowe, postępowe. Ale nawet ta próba Szenwalda, który przyjechał tu zwabiony postępowym klimatem politycznym — nawet ta nieudana próba wystawia międzywojennej Łodzi wcale niezłe świadectwo.

JERZY WIDOK

Bez strachu

CI, KTÓRZY KRZYCZĄ

Ci, którzy krzyczą pod naszymi oknami, na ulicach, w pociągach, w tramwajach, na zebraniach i odosobnieniu pod dachem i pod gołym niebem... Ci, którzy krzyczą, biorą na siebie drobną cząstkę odpowiedzialności za zbyteczne napięcie naszych nerwów, za stan naszego zdrowia. Alarmują nas zbytecznie, mylnie, szkodliwie. Oto siedzę w mieszkaniu, w cieple, mam dach nad głową i stopy w ciepłych pantoflach, siedzę w fotelu na biegunach, na głowie mam szlafmycę, pod ręką zagrzane piwo zaprawione w miarę korzeniami. Nagle ktoś za oknem zakrzyczał rozpaczliwie, przedśmiertnie. Czy to diabeł zakołysał się przez chwilę wraz ze mną?! Rzucam wszystko i wybiegam w deszcz, w śnieg, w upał i w zamieć śnieżną, chcę interweniować, bronić porywaną dziewicę, napadniętą staruszkę, szlachetnego wynalazcę napastowanego przez wrogów postępu... Gdzie tam! Na dworze stoi piegowaty wyrostek, który właśnie zakończył serię ryków i teraz rechocze złośliwie bowiem udał mu się fałszywy alarm, złośliwie wyciągnął mnie z domu, pozbawił wypoczynku, poniżył, przeziębił... Wracam do domu. Moja psychika uległa sceptycznej deprawacji, napełniony jestem duchem inercji, indolencji, agnostycyzmem i posseizmem. I oto następnego dnia pod moim oknem — sadysta uwodziciel porwał anielską dziewicę — próżno biedna wzywała pomocy — wziąłem rzecz za nowy podstęp złośliwego wyrostka — tegoż dnia obrabowano zamożną staruszkę — nie pośpieszyłem z pomocą. Tego dnia, w godzinach wieczornych bardzo podejrzane indywidua bezkarnie zaatakowały przed moim domem szlachetnego uczonego, pozbawiając godnych koniecznych do sporządzenia środka radykalnie usuwającego odciski — uderzyli go także bezlitośnie i precyzyjnie w czaszkę niszcząc ośrodek mózgowia zawierający engramy (ślady pamięciowe) gdzie utrwalone były owe dane. Wszystko to stało się, a ja nie interweniowałem bierny i nieufny, podupadły moralnie i bezwolny. Dobrze jest niekiedy sobie wrzasnąć raz, drugi i trzeci — trudno zaprzeczyć — ale wrzeszczeć trzeba tylko we własnym imieniu. Starajmy się o indywidualną autentyczność wrzasku, a w każdym razie usuńmy z wrzasku wszelkie cechy martyrologii, strachu, triumfu, gniewu — trzeba także wrzask pozbawić wszelkich właściwości nośnych, komunikatywnych, informujących... Tak, jeżeli wrzeszczeć, to wrzaskiem czystym, bezinteresownym, nikogo nie wprowadzać w błąd. Tak, by móc sobie powiedzieć: „Nie, ja nie wzywam pomocy, nie straszę, nie informuję, nie cieszę się — ja po prostu wrzeszczę — niech nikt do mnie nie śpieszyć, ani nikt niech ode mnie nie ucieka, ja wrzeszczę i basta". Jak piękny i szlachetny będzie podobny wrzask, stanie ponad wszelkim śpiewem i muzyką. Wrzask dla wrzasku oto jedyny wrzask prawdziwy. To powinni wiedzieć ci, którzy krzyczą.

BERNARD SZTAJNERT

FRED WAGNER

pora-chunki

Auto posuwało się mało uczę szczaną szosą. Nagle rozległa się syrena, dwóch policjantów na motocyklach zablokowało drogę. Berton i Jack pobledli.

— Czy coś nie w porządku? Nie jechaliśmy przecież zbyt szybko.

— To nie dlatego — odpowie dział sierżant. — Od dwóch dni szukamy samochodu tego typu i koloru. Został skradziony. Proszę panów o dowody i prawo jazdy.

Jack pokazał prawo jazdy, Berton nie miał żadnych dokumentów.

— Sierżancie, — tłumaczył Jack. — Zapewniam pana, że ten samochód nie jest skradzio ny, tabliczka rejestracyjna jest w porządku.

— Zobaczymy w urzędzie policyjnym w Newport. Proszę jechać za nami.

Jack i Burton wsiedli do sa mochodu.

— Dodaj gazu, Jack! Mamy pistolety. — Ruszyli błyskawicz nie.

Lecz motocykle okazały się szybsze. Policjanci zaczęli strze lać. Auto zarzuciło.

— Do pioruna! — zaklął Jack. — Przedziurawili nam opony.

— Wyciągaj pistolet!

Wyszli z maszyny. Zaczęła się strzelanina. Burton nie zdążył strzelić. Kula policjanta trafi ła go w czoło.

Jack przeskoczył płot i ruszył w pole. Na szczęście znalazł ma łe jezioro. Zanurzył się w wo dzie zrywając jednocześnie gru bą gałązkę trzciny, która wy stawała nad powierzchnią je ziora. Mógł teraz oddychać i przeczekać kilka minut bezpie cznie ukryty.

Policjanci zrezygnowali z dal szego pościgu i wrócili do sa mochodu.

Jack wychodząc z wody po czuł dotkliwy ból w plecach. — Przeklęte gliny, podziobali mnie! — jęknął.

* * *

Jim Starner rzucił karty. Nie mógł dłużej grać, był zdener wowany. Jack i Burton nie nad jeżdżali, siedem godzin opóźnie nia to sprawa poważna.

— Mogliby chociaż zatelefono wać! — krzyknął ze złością.

— Uspokój się — mitygował go Rocky. — Na pewno wybra li dłuższą, bezpieczniejszą dro gę.

— Samochodem naładowanym fałszywymi szterlingami i praw dziwym złotem?

— Nie mogą zbyt szybko je chać, wiesz o tym. Policja bez ustannie czatuje na drogach.

— Miejmy nadzieję, że ten idiota Burton nie zapomniał za brać dokumentów. Włóczy się po świecie jak bezimienny znaj da.

— Jesteście wszyscy bandą na iwniaków! — krzyknął Jim. Na wet na chwilę nie pomyśleli ście, że mogli przywłaszczyć so bie ładunek. Dwa miliony do larów! Może już go spławili i teraz siedzą wygodnie w samo locie. Przecież Jack i Burton są spoza naszego kręgu, niewie le o nich wiemy. To my raczej powinniśmy byli wykonać tę ro botę!

Hans rozzłościł się. — Ależ to Bob Nelson chciał tego! Wie, że policja ma jego dom pod kontrolą, a nas wszyscy znają. Wolał, abyśmy wysłali do niego ludzi nieznanych na naszym te renie.

W tym momencie odezwał się telefon. Rocky podszedł do apa ratu. Spostrzegli, że słuchając zbladł. Położył słuchawkę i wy jaśnił: — To był Frank. Kilka minut temu przyszedł do jego farmy Jack. Jest ciężko ranny. Frank mówi, że nie chce go trzymać u siebie.

— Do diabła! — zaklął Jim Starner. — Musimy szybko tam jechać!

Zabrali Jacka z farmy i przy wieźli do domu Starnera. Ran ny zemdlał.

— Morton, jedź natychmiast po Patrycję Willmont! — roz kazał Jim. — Niech przywiezie te swoje przeklęte narzędzia chi rurgiczne.

Patrycja przybyła z wypełnio ną torbą. Zdjęła płaszcz i rozej rzała się po tych ludziach, któ rych tak nienawidziła.

— Kto jest ranny? — zapyta ła.

— Nazywa się Jack. Nie znasz go. To coś poważnego.

Patrycja nie była lekarzem, pracowała niegdyś jako naczel na pielęgniarka w szpitalu cen tralnym. Było to jeszcze zanim poślubiła Mike'a Wyllmonta. Po ślubie rzuciła pracę pielęgniar ki.

Była piękną kobietą. Kochała Mike'a i tylko dlatego mogła znosić piekło życia, w które nie świadomie została wciągnięta. Okazało się bowiem, że Mike Wyllmont nie był handlarzem wyrobów futrzanych, za jakie go się podał, lecz po prostu gangsterem. A nawet gorzej, bo fałszerzem na służbie gangu. Rok temu został zabity, podczas gdy jego wspólnicy żyli i oto widziała ich razem: Jim Star ner, Rocky, Hans i Morton.

Zbadała rannego Jacka.

— Co z nim będzie? — zapytał Starner.

Patrycja potrząsnęła głową. — Niewiele pozostało mu życia.

Jack na chwilę oprzytomniał. Starner pochylił się nad nim i kazał sobie opowiedzieć wszy stko co zaszło. Po rozmowie ranny znów zemdlał.

Patrycja wyjęła kulkę z le wego boku. W kilka minut póź niej Jack zmarł.

Przed odejściem Patrycja po dała kulkę Jimowi.

— Weź ją na pamiątkę. Wiem, że masz kolekcję kulek, które zabiły twoich przyjaciół.

* * *

Jim był wściekły. — To przez tego znajdę Burtona. Nie miał przy sobie dokumentów! I co teraz powiedzieć Nelsonowi, któ ry czeka na ładunek? Zobowią zał się wykupić go od nas za milion dolarów w gotówce.

— Rocky, przynieś mi wszy stkie dzisiejsze gazety — roz kazał.

Rocky wrócił z naręczem dzienników porannych i połud niowych. Nie było w nich żad nej wiadomości o strzelaninie.

— Jak to możliwe? — dziwił się Starner.

— Zaraz ci wyjaśnię, — za czął Hans, który już od jakie goś czasu bawił się kulą wyję tą z płuc Jacka. — Widzisz ją? To jest kaliber 32. A tymczasem policja w naszym okręgu uży wa pistoletów kalibru 37.

Gangsterzy osłupieli.

— I tak jest rzeczywiście — krzyknął Jim. — A więc ci dwaj to nie policjanci. Dwa parszywe psy, dobrze poinformo wane o ładunku... Ukryli ciało Burtona i zabrali samochód. Hans, połącz mnie z Bobem Nel sonem.

— To na pewno ten łobuz Nel son urządził na szosie wypad — sugerował Morton.

— Teraz ma cały ładunek bez płatnie! — wykrzyknął Rocky. Nasz milion poszedł koło nosa.

Jim zadrżał. Wyrwał słuchaw kę Hansowi. — Bob Nelson? — zapytał tłumiąc wściekłość. — Tutaj Jim Starner, chciałbym z tobą pomówić.

— Ach, to ty? — zapytał fle gmatycznie Nelson. — Ładunek twoich pomarańcz przyszedł na czas i w dobrym stanie. Wszy stko w porządku. Wysłałem ci już fakturę. Do widzenia! — Bob Nelson odłożył słuchawkę.

Jim spojrzał na kompanów. — Słyszeliście? Mówi, że otrzy mał samochód z ładunkiem i za płacił milion dolarów.

— Ale komu? — zapytał Hans.

Zapadło ponure milczenie. Wreszcie Rocky zauważył: — Nelson nigdy mi się nie podo bał. Myślę, że to on wykombi nował to przeklęte oszustwo. Wynajął najpierw dwóch podej rzanych typów, żeby zabili Jac ka i Burtona i zabrali samo chód. A teraz wmawia nam, że zapłacił należność. Zobaczymy co powie, gdy mu się nóż przy łoży do gardła.

— A ja — ożywił się Morton — spróbowałbym to zrobić na tychmiast.

* * *

Czterej gangsterzy nie wie dzieli, że w willi Nelsona od bywał się elegancki bal. Weszli po cichu, drzwiami służbowymi i oznajmili lokajowi: — Chce my zobaczyć się z panem Nel sonem. Proszę mu powiedzieć, że przyjaciele z Newport mu szą z nim rozmawiać.

Po chwili lokaj wrócił. — Pan Nelson prosi, abyście panowie przeszli do gabinetu. Proszę tę dy, pan zaraz przyjdzie, pro szę siadać.

Gabinet był luksusowo urzą dzony, jak zresztą cała willa. W dwu ścianach przeciwległych znajdowały się drzwi.

Gangsterzy Starnera słyszeli orkiestrę i zmieszany gwar roz mów, dochodzący z salonu. Wi docznie miejscowa elita towa rzyska zebrała się, aby uczcić jakąś ważną okazję.

— Może Bob Nelson obchodzi hucznie nasz milion dolarów — odezwał się Rocky.

— Dlaczego tak długo czeka my? — zapytał Hans gładząc marynarkę, pod którą ukrywał swego wiernego Colta.

Nagle wydarzyło się coś zu pełnie niespodziewanego. Cała willa pogrążyła się w ciemno ściach. Orkiestra zamilkła, gwar ustał. Ktoś krzyknął: — Nawa liły korki!

Jim Starner wydał rozkaz: — Wszyscy na ziemię!

Ledwo zdążyli rzucić się na podłogę, gdy drzwi z obu stron gabinetu otwarły się i pojawi li się w nich dwaj uzbrojeni mężczyźni.

Strzelanina trwała tylko kil ka sekund.

* * *

Inspektor James Brown był bardzo zmęczony. Jaka straszna noc! Przez wiele godzin prze słuchiwał gości, jednego po dru gim. Poddał śledztwu pana do mu. Nie uzyskał jednak żadne go wyjaśnienia na temat wy darzeń w willi Nelsona. Stwier dzono tylko, że sześciu mężczyzn zostało zabitych: czterech z bandy Starnera i dwóch nie znajomych. Mogli to być gang sterzy z innych okolic... Lecz zbadaniem tego miał się zająć wydział specjalny policji.

— Co robili w pana domu gangsterzy, panie Nelson? — za pytał inspektor.

— Nigdy w życiu ich nie wi działem — odpowiedział Nelson.

Następnego dnia w dzienni kach ukazały się olbrzymie ty tuły artykułów o masakrze w willi Nelsona: „Porachunki gangsterów", „Masowe areszto wania wśród podejrzanych"...

* * *

Następnego dnia rano, gdy in spektor Brown zamykał pier wszy etap badań, przyniesiono mu jakiś list. Był pisany na pisu.

Inspektor przeczytał go dwa razy a potem wręczył sierżan towi Jeffersonowi.

Policjant przeczytał list gło śno i powoli: „Szanowny panie inspektorze! Przede wszystkim proszę nie interesować się tym, kto list napisał.

Musicie wiedzieć, że Nelson ką tu uchodzi. To jest zręczny kontrabandzista fałszywej wa nie jest czcigodną osobą, za ja maszynie i nie zawierał pod luty, którą wysyła w cały świat. Teraz na przykład jedzie w kierunku Paryża z „tekszty liami" ładunek ocłony i opła cony. Zawiera fałszywe szter lingi, przeznaczone do upłyn nienia na Bliskim Wschodzie. Paczkę wysłał Bob Nelson na adres swego europejskiego wspólnika, który nazywa się Charles Greval.

W paczce znajdują się nie tyl ko fałszywe szterlingi na sumę miliona dolarów, lecz także pra wdziwe złoto przeznaczone na rynek kopenhaski. Nelson ku pił ładunek o realnej wartości dwóch milionów dolarów pła cąc za niego milion.

Złoto w paczce pochodzi z na padów dokonywanych przez ban dę Starnera, z którym pan miał już do czynienia.

W tej aferze nastąpiły różne komplikacje. Nelson sądzi, że zapłacił milion dolarów bandzie Starnera, jak to było wcześniej uzgodnione. Tymczasem dał pie niądze dwom obcym gangsterom nazwiskiem Saheny i Moonwill, dobrze znanym policji kalifor nijskiej.

Właśnie ci dwaj gangsterzy zostali przeze mnie wcześniej poinformowani o cennym ła dunku w czarnym samochodzie, prowadzonym przez Jacka i Bur tona.

Dokończenie nastąpi

Fot. A. Wach

Lewym okiem

SZTUCZNE PRAWDZIWE SĘKI

Welurowe kożuszki zarówno męskie jak damskie nosi się masowo w Europie i Ameryce od paru lat, także i u nas. Ale ostatnio kto chce uchodzić w Londynie za prawdziwie modnego młodzieńca stara się o kożuch jak najbardziej prymitywny, pachnący z daleka baranem i surową skórą. Dla osiągnięcia tym mocniejszych efektów skrapia się nawet takie odzienie specjalnym, stężonym pachnidłem.

Przez wiele dziesiątków lat pokrywano drewno w meblach i w ścianach czym się dało, aby je „upiększyć": nieprzejrzystą farbą, wysokim połyskiem, warstwą plastyku w czerwono-zielony marmurek, tapetą w kocie łebki i w rozkwitłe powoje. Teraz ściany z plastyku wykłada się w willach bogatych filmowców ledwo heblowanymi deskami, na których dorysowuje się sęki i słoje, żeby było toporniej. Komplety stołów, foteli, szaf, regałów z grubych sękatych desek, ze śladami kory na brzegach sprzedaje się drożej od „Ludwików" i biedermeierów.

Tysiące chemików wysilało się, żeby skórę do wyrobu obuwia i odzieży wykończyć jak najidealniej: żeby miała absolutnie równiutki, jednolity kolor, żeby nie było widać najmniejszej skazy, zmarszczki, nierówności. Nie było to łatwe zadanie, bo skóra jest surowcem organicznym, rosła na bydlaku jak chciała — na grzbiecie grubsza, z boku cieńsza, w pachwinie pomarszczona, w karku tłusta, pokaleczona przez gzy, uderzenia, druty kolczaste. Cuda robiono, żeby to wszystko pokryć: znów różne warstwy plastyków, farby, lakiery, prasowanie, grzanie, tłoczenie. Cóż z tego, zwyczajny skay piękniej się przecież błyszczy, jest nieskazitelnie równobarwny, gładziutki. Czy wobec tego buty ze skayu są lepsze, zdrowsze, wygodniejsze? Czy należy naturalną skórę za wszelką cenę upodobnić do skayu?

Właśnie, że nie. Zaczyna wchodzić w życie zasada, że skóra powinna być dumna z tego, że jest skórą, tak jak drewno — że jest autentycznym drewnem wyrosłym w lesie. Niech sobie będzie pomarszczona i porysowana, miejscami jaśniejsza i ciemniejsza. Zachowa za to wszystkie swoje nieprześcignione cechy użytkowe: higroskopijność, przewiewność, zdolność oddychania. Zaczniemy na dobrej skórze malować sztuczne ślady ukąszeń gzów, żeby nikt nie miał wątpliwości...

W takich nieważnych, marginesowych drobiazgach przejawia się jakże charakterystyczna rewolucja poglądów na Naturę w najszerszym tego słowa sensie: najlepsze jest to, co naturalne, reszta to erzatz, namiastka, po którą sięgamy z konieczności. Naturalny jedwab już od dawna jest przecież o wiele droższy od sztucznego. Kożuch pasterzy afganistańskich będzie o wiele droższy od pięknego futra z tworzyw sztucznych. Biurka z dębowym blatem nikt nie odda za trzy kredensy ze szkła, niklu i produktów suchej destylacji węgla.

To jest ten sam zwrot w poglądach, który spowodował redakcje kilku największych pism w kraju do utworzenia klubu „Krajobrazy". Klub ma wszelkimi sposobami popierać inicjatywy, mające na celu ochronę przyrody. Bronić rzeki przed zatruciem, lasy przed wyniszczeniem, krajobrazy przed dewastacją. Klub chce umasowić, nadać społeczny rezonans sprawom, o których mówili od lat samotni entuzjaści. Może przestaniemy zalewać betonem najmniejszą ścieżkę w parku i chlustać beztrosko tysiącami ton śmierdzących chemikaliów do każdego strumienia. Może zrobimy co się da, żeby schować hałdę żużlu za zalesionym wzgórzem, zamiast na odwrót. Powtórzmy wytarty już frazes: człowiek jest częścią przyrody i nie może o tym bez konsekwencji zapomnieć. Nie można sobie wyobrazić dziwotworu, żyjącego stale w środowisku sztucznym, na przykład w pojeździe kosmicznym. A ponieważ naturalnych surowców jest i będzie coraz mniej, będą rosły na wartości. Snobi wyprzedzą ten proces, ale to nic, to całkiem nieźle. Może nawet doczekamy się epoki, gdy wytworne, modne panie snobować się będą na absolutną naturalność, choćby osiągniętą sztucznie: siedemdziesięciolatka, odżywiona kosmetycznymi cudami, domaluje sobie sztuczne zmarszczki, powieki będzie się malować na kolor powiek, a usta dziewcząt — na najładniejszy ze wszystkich kolor ust dziewczęcych. Młodzieńcy ubiorą się w zgrzebne, supermnące, lniane koszule po tysiąc złotych sztuka, w komisowe trepy z surowych rzemieni, w bezcenne portki z wełnianych samodziałów, i z dudami w ręku wystąpią w telewizyjnym programie. I też nas ani zadziwią, ani zachwycą. Jesteśmy bowiem zepsuci cywilizacją.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny). Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (poezja i proza). Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2530. B-4.